PRZEGLĄD LEŚNICZY

ZAŁOŻONY W ROKU 1876

CZASOPISMO MIESIĘCZNE

POD REDAKCJĄ JÓZEFA ZIÓŁKOWSKIEGO

PRENUMERATA: Przy odbiorze w ekspedycji miesięcznie: 0,75, kwartaln. 2,25 złp., z wysyłką pocztową mies. 0,85, kwartaln. 2,55 złp.

CENA OGŁOSZEŃ: za całą stronę 40,00 złp., $^1/_2$ str. 20,00 złp., $^1/_4$ str. 10,00 złp., $^1/_8$ str. 5,00 złp., $^1/_{10}$ str. 4,00 złp., na 1 str. okładki 10% drożej

RABAT: Przy 3-6 razow. ogłosz. 5%, 7-12 razow. 10%, stałe ogłosz. 20%

Redakcja, Administracja i Ekspedycja przy ul. św. Marcina 57, III. piętro

TREŚĆ.



W. PRZYBYLSKI.

Pomoc państwowa na odbudowę gospodarstw zniszczonych skutkiem wojny.

Ponieważ lasy pociągnięto w pierwszym rzędzie do świadczeń na cele odbudowy kraju, nie obojętnem będzie dla leśników zaznajomienie się z bliższymi szczegółami akcji tej dotyczącymi.

„Przyczyny wszystkich niedomagań, na jakie cierpi Polska, mają swe źródło w nieznajomości rzeczy i nieliczeniu się z rzeczywistością. W taki też sposób zabrano się u nas do odbudowy zniszczonych działaniami wojny siedzib. Zapłacono architektom, żeby obmyślili najpiękniejsze, najbardziej polskie chaty, domy, dworki, dyskutowano długo nad tem, czy wsie ma się odbudowywać w ulice, okola czy fermy. Ażeby zainteresowani nie przeszkadzali w stworzeniu tysięcy wsi „na wystawę“ zabroniono im się odbudowywać, obiecując, że władze oddadzą im klucze i wprowadzą ich do gotowych, wykwintnie urządzonych dworków w artystycznych wioskach. Ażeby wpaść na polski pomysł odbudowy, trzeba było wyjść z nierealnego założenia, że skarb Państwa jest bezdenną studnią. Do tych marzących przedstawicieli władz państwowych przyczepili się geszefciarze, którzy na tem chcieli się obłowić i obłowiło się wielu. Ci jedni mieli zmysł rzeczywistości.

Skończyło się na tem, że wydano moc pieniędzy a zniszczeni albo poginęli marnie, albo ukradłszy trochę drzewa w cudzym lesie, powznosili nie tyle mieszkania ludzkie, ile budy. Zrujnowane miasta nie odbudowały się wcale. Zamiast czarodziejskich grodów mamy dziury, których się wstydzić musimy“.

W tak ponurem świetle przedstawia jeszcze w lipcu b. r. działalność rządu pismo, które w trosce o dobro Państwa nie zwykło owijać słów w bawełnę. Podobnie pesymistyczne sądy dają się nieraz słyszeć także w rozmowach przygodnych.

Czy rzeczywiście jest tak beznadziejnie źle? Zapewne że te gorzkie słowa prawdy mogły być na miejscu przy początkach akcji odbudowy, gdyż w podobnie dyletancki i marzycielski sposób nie jedno poczynanie u nas podejmowano. Czy jednak dotąd trwa taka nieoględna i szkodliwa gospodarka w tej niepomiernie doniosłej dziedzinie, czy dotychczasowe wyniki istotnie są tak potwornie marne, względnie kiedy i jakie nastąpiło polepszenie?

Pytania takie bardzo są na dobie wobec nowego haraczu, jaki w formie daniny lasowej nałożono na wszystkie prywatne lasy i w której ustalaniu całe szeregi leśników od roku wybitny przyjmują udział, a która to danina ma dać środki do dalszej odbudowy.

Zobaczymy, co mówią urzędowe dane, zaczerpnięte ze sprawozdania Gen. Dyrekcji Odbudowy za rok 1922:

Ogólna cyfra zarejestrowanych zniszczeń do końca 1922 r. wynosiła 1.671.568 budynków. Odbudowano do końca 1921 r. 674.037 budynków, czyli 40,3%. W ciągu 1922 r. odbudowano 207.623 budynków, a zatem od początku odbudowy do końca 1922 roku odbudowano 881.660 budynków, czyli 52,7%.

Od chwili powstania Państwa Polskiego Skarb Państwa wydał na odbudowę jako taką:

w roku 1919 i 1920 około .	1.500.000.000 mk.
„ 1921	5.297.972.518 „
„ 1922	12.639.217.863 „
	19.437.190.381 mk.

Poza tem dotacja dla Państwowego Banku Odbudowy wynosiła:

w roku 1920	50.000.000 mk.
„ 1921	722.200.000 „
„ 1922	3.550.000.000 „
	4.322.200.000 mk.

Koszta administracyjne urzędów Odbudowy wynosiły w roku 1922, w stosunku do ogólnych wydatków, 6,56%, przyczem suma poborów funkcjonarjuszy stanowi 4,72% ogólnych kosztów.

Z kredytów, przeznaczonych na cele odbudowy, zostały zakupione liczne środki transportowe. Ponadto wybudowano szereg zakładów przemysłowych, mających produkować materjały budowlane na cele odbudowy.

Wartość nieruchomości, środków lokomocji, inwentarza biurowego i materjałów zakupionych z kredytów odbudowy wynosi według szacunku z dn. 31. XII. 1922 r. 18.189.740.000 mk.

Z tego przypada:

na zakłady przemysłowe	7.169.445.000 mk.
„ budynki i place	1.908.960.000 „
„ kolejki	684.196.000 „
„ samochody i traktory	288.312.000 „
„ konie, powozy, wozy, bryczki, sanie . . .	225.017.000 „
„ materjały budow. nie rozdane w d. 1.I.1923 r.	7.385.053.000 „
„ inwentarz Okr. Dyr. Odbudowy	106.307.000 „
„ inwentarz biur Pow. Biur Odb.	422.450.000 „
Razem	18.189.740.000 mk.

W wykazie wyżej podanych środków transportowych wyszczególniono: 60.144 m. bież. długości toru, 1 parowóz, 7 motorów benzynowych, 369 wagonów, 3 traktory, 8 samochodów osobowych, 26 ciężarowych, 4 motocykle, 7 rowerów, 169 koni, 93 wozy, 107 bryczek, 15 powozów i wolantów, 54 sań wyjazdowych i 50 roboczych.

Co do zakładów przemysłowych, to jeszcze w roku 1921 rozpoczęło Min. Rob. Publ. likwidację całego szeregu wytwórni materjałów budowlanych, zakupionych względnie wybudowanych z kredytów odbudowy, których prowadzenie we własnym zarządzie okazało się niekorzystne. Z wytwórni tych pozostają w zarządzie M. R. P. na rok 1923 jedynie: Państwowe Zakłady obróbki drzewa w Persenkówce, Państw. Zakłady drzewne w Kępie i Rozwadowie i Państw. Zakłady obróbki drzewa w Janowie. Wszystkie inne zostały wydzierżawione lub sprzedane. Czynsz dzierżawny pobiera się przeważnie w postaci materjałów budowlanych.

Zakłady obróbki drzewa w Augustowie, przejęte przez M. R. P. od okupantów i następnie rozbudowane, o 6 trakach i dobrze zaopatrzonych warsztatach stolarskich i ciesielskich, o zapędzie elektrycznym, których wartość została oszacowana w dniu 1 sierpnia 1922 r. na 449.490.580 mk., zostały odstąpione w sierpniu 1922 r. Ministerstwu Rol. i D. P., a przez to Ministerstwo oddane do eksploatacji firmie prywatnej.

Państwowe Zakłady przemysłu drzewnego w Łomży Min. R. P. oddało w dzierżawę w m. wrześniu 1922 za opłatą 2042 m^3 materjałów tartych rocznie, oraz zobowiązało przedsiębiorców do rozbudowy zakładów według planów Min. R. P. i zwiększenia produkcji. Przytem zastrzeżono sobie prawo przerabiania w tych zakładach pewnej ilości materjału potrzebnego na odbudowę kraju. Wytwórnia ta posiada 4 traki oraz 33 obrabiarki. Umowa zobowiązuje przedsiębiorców do przetarcia jako minimum 18.000 m^3 budulcu rocznie.

W zakładach tych wyrabiane są obecnie meble różnego typu. Wartość zakładu oszacowano w dn. 1 sierpnia 1922 r.

na 135.132.746 mk. Zawierając wszystkie umowy na dzierżawę czy też sprzedaż wytwórni, Min. R. P. zawsze zastrzegało sobie prawo do kupna części produkcji po cenach niżej rynkowych.

W Państw. Zakładach obróbki drzewa w Janowie pod Lwowem wyrabiane są w większej części meble dla szkół w Małopolsce. Sprzedaż tego tartaku ze stolarnią, którego obecna wartość wynosi około 450.000.000 mk. została przez Min. R. P. zadecydowana.

W zarządzie Min. R. P. znajdował się w roku 1922 trzytrakowy tartak w Rozwadowie (własność p. Lubomirskiego) i tartak w Kępie pod Rozwadowem, w których było przecierane wyłącznie drzewo pochodzące z drzewostanów zakupionych jeszcze przez rząd austrjacki od właścicieli Rozwadowa. Tartak w Kępie, stanowiący własność Min. Rob. Publ., spalił się w 1921 roku. Tartak ten, który uprzednio posiadał 3 traki, został obecnie odbudowany w znacznie większych rozmiarach. Hala tartaczna i wszystkie zabudowania obliczone są na 8 traków, z których na razie uruchomiono w jesieni 1922 r. 4 traki. Maszyny i zabudowania przedstawiają wartość około 2.500.000.000 marek.

Obecnie toczą się pertraktacje o sprzedaż tego zakładu firmie, której równocześnie zostaną oddane do eksploatacji drzewostany w lasach p. Lubomirskiego, stanowiące własność Skarbu Państwa.

Jedynie Państw. Zakłady obróbki drzewa w Persenkówce pod Lwowem Min. R. P. ma zamiar i nadal prowadzić we własnym zarządzie, celem badania faktycznych kosztów obróbki materjału drzewnego, oraz normowania cen na stolarszczyznę.

Zakłady te uległy w roku 1922 znacznym ulepszeniom i zostały rozbudowane tak, iż w roku 1923 przewiduje się przerobienie w nich około 40.000 m^3 drewna. Wybudowano w 1922 r. 3 domy dla urzędników, wiele budynków gospodarczych i mieszkalnych. Rozbudowa posunęła się tak, iż z 250 robotników połowa w 1922 r. mieszkała we własnej kolonji robotniczej Zakładów.

Zakłady posiadały w 1922 r. tartak 5-cio trakowy, w którym przetarto 21.315 m^3 drewna twardego i miękkiego.

W ciesielni i stolarni maszynowej, które zaopatrzone są w wszelkiego rodzaju obrabiarki najnowszych systemów, przerobiono 4.380 m^3 na elementy gotowych domów, deski podłogowe, futryny drzwiowe i okienne, listwy i t. p.

Wyprodukowane 415 domów mieszkalnych typu podolskiego i 50 domów na szkoły jednooddziałowe, jak też i całą stolarszczyznę odstąpiono na zapotrzebowanie poszczególnym Dyrekcjom Odbudowy, po cenach niższych od cen rynkowych. Wartość obecna Zakładów wynosi około 2.400.000.000 mk.

Roczny obrót kasowy wynosił 1.900.000.000 mk. Zakłady nietylko pokryły koszta inwestycji (90.000.000 mk) ale jeszcze wykazały znaczny zysk, pomimo że materjały pierwszorzędnej jakości były sprzedawane Dyrekcjom o 30—50% taniej niż w firmach prywatnych.

Z zakładów wydzierżawionych otrzymano w roku 1922 tytułem czynszu materjały tarte i cegłę łącznej wartości 95.017.650 mk., które zostały rozdane na miejscu ludności poszkodowanej skutkiem działań wojennych.

Bezzwrotna pomoc państwowa była udzielana za pośrednictwem Tow. Biur Odbudowy prawie wyłącznie w materjałach. Głównym materjałem było drzewo. Inne materjały budowlane były wydawane w niewielkich ilościach.

W roku 1922 wydano drzewa w stanie okrągłym 1.071.560 m^3, w stanie tartym 235.015 m^3.

Pozatem wydano z innych materjałów: gontów 200.240 kop, cegły 23.461.221 sztuk, wapna 4.220.702 kg., cementu 1.540.195 kg., gwoździ 515.212 kg., szkła 105.004 m^2, blachy 70.151 kg., gotowych drzwi i okien 5.491 sztuk.

W mniejszych ilościach wydano papę, dachówkę itp. oraz gotowych budynków przeszło 600.

Prócz pomocy materjalnej była też udzielana poszkodowanym pomoc techniczna.

Ministerstwo Robót Publ. popierało usilnie budownictwo z materjałów zastępczych a w szczególności glinobitne, zwłaszcza w okolicach bezleśnych, dokąd dowiezienie drewna było trudne i zbyt kosztowne.

O ile w województwach, w których budownictwo glinobitne istniało przed wojną t. j. stanisławowskiem i tarnopolskiem rozwija się normalnie, to w innych zabiegi organów odbudowy nie zostały uwieńczone skutkiem.

Co do sposobu udzielania pomocy, to bezzwrotne zapomogi były wydawane w myśl ustawy z dn. 18. lipca 1919 r. na podstawie uchwał Tow. Komisji zapomogowych, działających w powiatach, które doznały zniszczeń wojennych, na całym obszarze Państwa, wyłączywszy ziemię wileńską, na którą dopiero rozporządzenie Rady Ministrów z dn. 24. 8. 1922 r. rozciągnęło moc obowiązującą ustaw w sprawach odbudowy a więc ustawy z dnia 28. lutego 1919 r., 18. lipca 1919 r., 2. marca 1920 r. i ustawy z dnia 21 stycznia 1921 roku.

Realizacja uchwał następuje w wyznaczonej przez Tow. Kom. Zap. kolejności stosownie do nagłości udzielenia pomocy i rozporządzalnych kredytów.

Posiedzeń powiatowych Komisji Zapomogowych odbyło się 2649 i powzięto uchwał 257893. W drugiej połowie roku 1922 wdrożono prace do jaknajrychlejszego załatwienia wszystkich

podań o pomoc państwową. Na podstawie zestawień wszystkich załatwionych a niezrealizowanych uchwał P. K. Z. będą mogły Dyrekcje Odbudowy rozwinąć w przyszłym okresie budżetowym bardziej celowe prace i układać zupełnie realne programy.

Według postanowień ustawy z dn. 18 lipca 1919 r. wysokość bezzwrotnej zapomogi nie może przekraczać 20.000 marek. Pomoc może być udzielona tylko tym, którzy bez pomocy Państwa nie mogą się odbudować. Ustawa z dn. 21 stycznia 1919 roku uzupełnia poprzednią ustawę bliższem określeniem tej pomocy, postanawiając liczenie materjałów według cen w chwili wydania ustawy z dn. 18 lipca 1919 r.

W rzeczywistości udzielana pomoc bardzo rzadko dochodziła do zakreślonej wysokości i nie wynosiła przeciętnie więcej nad kilkanaście tysięcy mk., licząc po cenach z lipca 1919 roku. Zapomogi były rozdzielane z przewodnią myślą przyjścia z najwydatniejszą pomocą tam, gdzie była tego największa i nieodzowna potrzeba i gdzie spodziewać się należało poruszenia najenergiczniejszej inicjatywy i zapobiegliwości prywatnej w kierunku skutecznego usunięcia śladów wojny i rozpoczęcia pracy normalnej, utrwalającej ekonomiczny byt Państwa.

Na podstawie ustaw Państwo udziela zatem pewnej pomocy w materjałach poszkodowanym, którzy bez pomocy Państwa nie są w stanie się odbudować, za pośrednictwem Tow. Biur Odbudowy a poszkodowani mają sami odbudowę przeprowadzić. Jednakże pomoc ta, najczęściej w formie drzewa budulcowego na pniu i niektórych podstawowych materjałów budowlanych udzielana, stanowi zaledwie około 25% ogólnych kosztów odbudowy. Korzystać przeto z tej pomocy mogą tylko ci, których stać na pokrycie reszty kosztów odbudowy, zatem jednostki ekonomicznie silniejsze. Najbiedniejsi, nie mający nawet koni do zwózki udzielonych materjałów, nie mogą korzystać z pomocy i do dziś dnia (tj. do dnia zestawienia sprawozdania) nie odbudowali choćby najskromniejszych chat.

Od r. 1919 zaopatrywanie poszkodowanych w materjały budowlane odbywało się za pośrednictwem własnych składnic, zakładanych po powiatach. Próba, przeprowadzona na terenie b. Kongresówki, powierzenia czynności prowadzenia tych składnic organizacjom handlowym, a w szczególności Korporacji Rolnej, nia powiodła się. W ciągu listopada, grudnia 1921 i stycznia 1922 r. odbyło się przekazywanie niektórych własnych składnic Korporacji Rolnej, ale już w sierpniu 1922 r. zarządzono likwidację tego stosunku. Oczekiwanych bowiem ułatwień i większej sprawności działania składnic, a zarazem pomniejszenia kosztów administracji nie uzyskano.

Przy zakupach obowiązywała zasada zakupna tylko w kraju i wprost u producentów.

Zasadniczą formą zaopatrywania poszkodowanych w drewno było wydawanie drzewa na asygnaty P. B. O. w stanie okrągłym na pniu lub przy pniu.

Mając na uwadze znacznie, bo do cen średniotargowych podniesioną cenę drewna kontyngentowego, po myśli rozp. Min. Rob. Publ. z dnia 2. 1. 1922 r., pobierały Dyrekcje Odbudowy t. zw. kontyngent tylko z tych lasów, dla których kalkulacja wykazała, że ceny tego drzewa były niższe, niż ceny w wolnym handlu w okolicy, gdzie drzewo jest potrzebne.

Z końcem roku 1922 został uregulowany sposób zajęcia i opłaty drewna kontyngentowego. Należność wypłacają odtąd właścicielowi Dyrekcje Odbudowy na podstawie aktu zdawczo-odbiorczego bezzwłocznie, a najpóźniej do 14 dni po odbiorze. Zarządzenie to miało na celu położenie kresu skargom właścicieli lasów na późną wypłatę należności za drzewo, bo dopiero po wywozie drzewa przez poszkodowanych z lasu, trwającym przeważnie kilka miesięcy i dłużej, przez co właściciele ponosili stratę skutkiem spadku waluty.

Z udzielonej pomocy państwowej korzystała przedewszystkiem wieś. Odbudowa jej posunęła się daleko naprzód. Skutki tego uwidoczniły się w najbardziej pożądanym kierunku, bo we wzroście produkcji rolnej, dosięgającej prawie stanu przedwojennego. Pomoc, która stanowiła zaledwie cząstkę wartości odbudowanych osiedli, okazała się zatem niezwykle wydatną. Z tego minimum pomocy mogły jednak korzystać tylko jednostki ekonomicznie silniejsze, gospodarstwa zaś zbyt drobne i słabe, z pomocy tej korzystać nie mogły, chociaż od 1921 r. zaczęto i te częściowo i stopniowo coraz więcej uwzględniać, dając im częściowo drzewo w stanie przerobionym, a nawet — jednak tylko w niewielkiej ilości — gotowe drewniane domy, zależnie od rozporządzalnych kredytów. Akcja ta była, jako wymagająca znaczniejszych kredytów, nie dość intensywna.

W miastach i miasteczkach akcja odbudowy nie rozwinęła się. Pomocy udzielano w myśl ustawy z 18 lipca 1919 r. jedynie drobnym właścicielom, mieszczącym się na krańcach. Śródmieścia są nieodbudowane dotychczas. Powodem tego jest to, że odbudowa w miastach wymaga większych kapitałów, a pomoc państwowa w jej dotychczasowem ograniczeniu nie mogła wpłynąć na należyte wszczęcie akcji odbudowy. Ogólny brak kapitałów prywatnych nie sprzyjał również rozwinięciu się tej akcji. Powołany do życia Państwowy Bank Odbudowy ustawą z dnia 23 marca 1922 r. również nie wiele mógł zrobić w tym kierunku z powodu zbyt małych, a nadto uszczuplających się skutkiem ciągłego i dotkliwego spadku waluty funduszów, oddanych mu do dyspozycji na cele pożyczkowe.

Znaczne kredyty przeznaczyło Min. Rob. Publ. na odbudowę szkół i kościołów. W rezultacie odbudowano lub odremontowano w 1922 roku 754 szkół i 137 kościołów. Pozostało do odbudowy 2575 szkół i 1043 kościołów.

Repatrjantom z Rosji, których wróciło do Polski do końca 1921 r 436.522 i w 1922 r. 282.943 razem 719.465 osób udzielono doraźnej pomocy wydając po 5 m^3 budulca w stanie okrągłym lub przetartym a w nagłych wypadkach budując na koszt Państwa ziemianki, baraki, schroniska i ochronki z 1-miljardowego kredytu, z którego wybudowano 1713 ziemianek, 85 domów, baraków i schronisk oraz wydano 79.625 m^3 drzewa w stanie okrągłym, 3.128 desek i 1.491.495 sztuk cegieł.

Niezależnie od pomocy doraźnej prowadzono we wszystkich województwach rozdział materjałów między repatrjantów w drodze uchwał Tow. Kom. Zapomogowych.

Osadnikom wojskowym wydano w 1921 r. 289 zrębów gotowych domów oraz zremontowano 26 objektów mieszkalnych. W nielicznych wypadkach przeprowadzono nawet odbudowę.

W 1922 r. wydano osadnikom wojskowym 156 446 m^3 budulcu w okrągłym stanie: 13.660 m^3 w przetartym oraz 853.449 sztuk cegły i 420.205 szt. dachówek. Pomocy w gotówce mk. 69.263.427. Liczba osadników wojskowych wynosiła pod koniec 1922 roku 8700.

Pomocy budowlanej dla osadnictwa powstałego, przy wykonywaniu reformy rolnej, udzielono w formie wydawania materjałów na kredyt. Razem w roku 1921 i w 1922 wydano osadnikom tego typu 48.653 m^3 drzewa okrągłego, 31.337 m^3 tartego i 850.300 sztuk cegieł.

Wprowadzenie systemu pożyczkowego do ogólnej akcji odbudowy na przyszły okres, uznał Rząd na mocy nabytego doświadczenia, jako najwięcej odpowiadającego celowi i przygotował w tym duchu projekt nowej ustawy, weszłej w życie w końcu lata br. Ustawa ta usunie niedomagania dotychczasowego sposobu odbudowy i spowoduje dalsze zmniejszenie kosztów administracji. Częste bowiem były wypadki ubiegania się o bezzwrotną zapomogę poszkodowanych bez względu na potrzebę i cel pomocy państwowej oraz częste wypadki beztroskliwego marnowania jej; dochodzenia zaś i ścigania tych nieprawidłowości natrafiały na wielkie trudności przy doprowadzonym do minimum stanie personelu odbudowy. Dla najbiedniejszych przewiduje system ten możność odpisania pewnej części pożyczki po dokonanej odbudowie w wysokości udzielanej na podstawie dotychczasowych ustaw bezzwrotnej zapomogi.

Etat personelu odbudowy wynosił: w lipcu 1920 roku 3500 osób, w dniu 1. I. 1921 r. 1237, w dniu 31. XII 1921 r. 1061, w dniu 1. IV. 1922 r. 764 i w dniu 31. X. 1922 r. 673 osób.

Tak wygląda w świetle cyfr i danych, zaczerpniętych z sprawozdania 1922 r., działalność rządu na polu odbudowy zniszczonych działaniem wojny budynków. Obraz ten byłby oczywiście wyraźniejszym, gdyby przewalutowano gotówkę, podano w pełnowartościowej walucie koszt nabycia drewna kontyngentowego i doliczono zysk inflacyjny na drewnie zapóźno spłaconem, coby dopiero w przeciwstawieniu do osiągniętych rezultatów zezwoliło należycie ocenić sprawność Gen. Dyrekcji Odbudowy.

Co jednak rzuca się w oczy, to ogrom dokonanej pracy, wyrażonej cyfrą 52,7 proc. odbudowanych do końca 1922 r. budynków i tempo, w jakiem następowała redukcja urzędników. Godnem także zaznaczenia jest szybkie uporanie się z balastem, jaki stanowiły nie rentujące się zakłady przeróbki drzewa oraz wprowadzenie nowego systemu do akcji zapomogowej.

Takie wyniki osiągnięto do końca 1922 roku. Minął tymczasem cały 1923 rok i minęło półrocze 1924 r. Do już pobudowanych 881.660 przybyły całe masy nowych budynków, a jednak pojawił się w prasie jeszcze w lipcu 1924 r. tak ponury obraz, jaki w streszczeniu na wstępie niniejszego artykułu zamieszczono, i który podpisanego pobudził do bliższego zaznajomienia się z sprawą odbudowy kraju.

Skutki opóźnienia w odbudowie, spowodowane początkową fatalną gospodarką, musiały jednak wgryść się krwawym żalem w umysły pokrzywdzonych jeżeli wówczas popełnione błędy dotąd tak ostro są piętnowane. Możebnem także jest, że niejedno jeszcze tu i owdzie szwankuje, lecz cyfry zaczerpnięte z sprawozdania 1922 r, świadczą wymownie o tem, że już oddawna wstąpił rząd na drogę realną oraz że może wykazać się ogromem dokonanej pracy.

Dużo jednak pozostaje jeszcze do dokonania, zanim ostatni z poszkodowanych przez działania wojenne otrzyma zapomogę niezbędną do odbudowy swych zgliszcz, społeczeństwo winno zatem bacznie śledzić za dalszym rozwojem akcji odbudowy kraju, i sądzę, że również i nasz organ nie omieszka poinformować nas leśników, gdy Ministerstwo Robót Publ. opublikuje następne swe sprawozdania, lub gdy z innych źródeł otrzyma pożyteczny materjał.

ST. WOSZCZYŃSKI — W. ŁUCZKIEWICZ.

Kilka uwag o niektórych warunkach życiowych drzewostanów.

(Wybrane urywki z pracy p. t. Higjena lasu na tle jego bologji).

Oddziaływanie klimatu na życie lasu uwidocznia się zasadniczo na przestrzeniach o wiele większych, aniżeli oddziaływanie własności gleby.

Z drugiej strony, nie rzadkie są jednak wypadki, w których skrajne minima i maxima temperatury powietrza udaremniają normalny wzrost drzew lub wogóle kwestjonują życie lasu tylko na małych bardzo przestrzeniach.

Te i inne skrajne właściwości klimatyczne ulegają znów pewnym zmianom i złagodzeniom na obszarze geograficzno-klimatycznym pod wpływem samych lasów i ich rozprzestrzenienia, jakoteż układu terenowego, który wpływa wybitnie na warunki klimatyczne od najdawniejszych er geologicznych, wreszcie całego szeregu innych czynników, wyodrębniając tzw. strefy leśno-klimatyczne, w których grupują się na pewnych obszarach gatunki w najuchwytniejsze ramy uwarunkowań życiowych — zasięgi. Pomimo tego, że wszystkie właściwości klimatu oddziaływują poważnie na życie społeczeństw roślinnych, rozpatrzymy pokrótce wpierw warunki temperatury powietrza, uzależniające zasięgi drzew i drzewostanów i różnice we wzroście w rozmaitych położeniach, jako jedne z najważniejszych czynników.

Zasiąg poziomy i pionowy drzew i drzewostanów zależy w znacznej mierze od ciepłoty, i to nie tyle od średniej rocznej ciepłoty (izoterma lipca), ile od średniej temperatury okresu wegetacyjnego i spoczynkowego (zimowego). Nieraz jednak, np. zasiąg pionowy w górach, jest od średnich temperatur niezależny. Pominąwszy ten ważny czynnik rozprzestrzeniania się lasów, warunki ciepłoty są przyczyną powstawania ras i odmian w ramach zasięgu stref leśno-klimatycznych, warunkują ich aklimatyzację, a były kiedyś w wiekowej ewolucji roślin, bez kwestji, przynajmniej częściowo przyczyną powstawania nowych gatunków.

Widzimy to dobrze w strefach polarnych, jak i na granicach pionowego zasięgu. Zbliżając się ku tym granicom, poszczególne jednostki już nie tylko nie są w stanie stworzyć drzewostanu, t. zn. przekroczyły granicę zasięgu gromadnego, ale nawet same zmniejszają swe formy zewnętrzne i karłowacieją (karłodrzewa), jakkolwiek istnieje pewna kompensacja pomiędzy przyrostem wysokości i grubości do określonych granic. To charakterystyczne utracanie przyrostu na grubość, a przedewszystkiem na wysokość, w miarę posuwania się danego gatunku na północ lub nad poziom morza, może być do pewnego stopnia wskaźnikiem, gdzie znajduje się granica optimum zasięgu gromadnego*), w którem rozwój roślin (przyrost) jest stosunkowo najsilniejszy.

Świadomość tych granic zasięgu gromadnego danego ga-

*) Pomiary przyrostu w kierunku południka lub w górę dałyby nam możność zebrania danych i sporządzenia wykresów, charakteryzujących granice występowania gatunków w optimum ich zasięgu.

tunku, będącego w optimum lub jego ułamków*), ma bardzo wielką wartość dla leśnictwa w tworzeniu lub pielęgnowaniu drzewostanów mięszanych.

Zapomnieć jednakże przytem nie wolno, że ten potężny wpływ temperatury uwydatnia się mniej lub więcej w skojarzeniu z innemi czynnikami, jak gleba, opady itd. Rola ciepłoty występuje najjaskrawiej w górach, chociaż i tam czasem inne czynniki potęgują ją lub zmniejszają.

We wszystkich wspomnianych okolicznościach oddziaływanie klimatu jest różne dla poszczególnych gatunków i różne dla tych samych w występowaniu jednostkowem, gromadnem, w drzewostanach czystych i mieszanych, jedno i kilkopiętrowych.

Wiemy o tem dobrze, że niektóre gatunki sięgają dalej na północ i wyżej nad poziom morza w drzewostanie mięszanym, aniżeli w czystym. Np. w Alpach idzie buk w czystym drzewostanie do wysokości 1040—1070 m, a w jednostkowej mieszaninie z jodłą do 1360—1560 m.

Znane jest też ogólnie, że poziomy zasiąg jednostkowy danego gatunku sięga dalej, aniżeli zasiąg gromadny.

Ciekawem jest stwierdzenie, że drzewostan jednopiętrowy jest o wiele czulszym i wrażliwszym na zmiany klimatyczne, aniżeli kilkopiętrowy, któremu jednopiętrowy musi ustąpić miejsca w swym pochodzie na północ lub w górę. (Lasy Finlandji, Alpy, Karpaty).

Ilustrują to następujące daty z południowego Tyrolu.

Wysokość n. p. m.	Średni przyrost na grubość (średnią) w mm		
800—1000 m	4.95	drzewostan jodł.	wielopiętr.
	3.63	„ „	jednopiętr.
1800—2000 (granica zasięgu pionowego)	1.10	„ „	wielopiętr.
	0.73	„ „	jednopiętr.

Niekiedy także warunki klimatyczne, uniemożliwiające istnienie wysokopiennego drzewostanu, sprzyjają rozwojowi drzewostanów niskopiennych i naodwrót, jak n. p. w Alpach, gdzie powyżej 1200 m n. p. m. niema drzewostanów niskopiennych.

Wpływ klimatu nie tylko nakreśla granice zasięgu drzew i drzewostanów, ale także uzależnia i przyrost na grubość i wysokość.

Jak już wyżej wspomniano, zebranie odpowiednich dat pomiarowych umożliwiłoby sporządzenie wykresów jednakowych przyrostów dla odpowiednich zasięgów poszczególnych gatun-

*) Położenie zbiorowisk wobec optimum można oznaczyć ułamkowo w stosunku do 1, przyjmując za podstawę optimalny rozwój i przyrost gatunku, przy odpowiedniej wspólnej redukcji na jednakowe warunki środowiska.

ków, co dawałoby leśnictwu wskazówki, jakie stwarzać drzewostany pod daną szerokością geograficzną, najlepiej przyrastające, a temsamem najrentowniejsze, jakoteż czy dany gatunek jest w optimalnym swym zasięgu, czyli czy powinien być przeważający w mieszaninie drzewostanu mieszanego w stosunku do drugiego gatunku, który jest w ułamku optimalnego zasięgu.

Całokształtu ważnych tych dat do dziś nie posiadamy. Nieliczne próby (Martens, Beketow) nie są wystarczające. Beketow na podstawie nielicznych tylko pomiarów uwzględnia trzy strefy w zasięgu poziomym dla sosny na zachodzie Europy.

1. Strefa polarna, powyżej 67^0 szer. geogr. o średniej grubości słoja rocznego po 200 latach, do 1 mm.
2. Strefa chłodna, pomiędzy 60—70^0 szer. geogr. o średniej grubości słoja rocznego po 200 latach, ponad 1 mm.
3. Strefa umiarkowana, od 40—58^0 szer. geogr. o średniej grubości słoja rocznego po 200 latach, ponad 2 mm.

We wzroście na wysokość, granicą, od której spada gwałtownie przyrost, jest 67^0 szer. geogr.. Mówiąc o ciepłocie, należy wspomnieć jeszcze o krótkotrwałych minimach i maximach ciepłoty. Doświadczenia pouczają, że nawet bardzo niskie temperatury zimy rzadko tylko i w nieznacznej mierze szkodzą drzewom; nieco więcej szkodzą maxima ciepłoty letniej, które potęgowane są przeważnie przez inne czynniki, jak gleba i wilgotność powietrza itd., a które mogą być zabójcze tak dla młodszych jak i starszych drzew, względnie wpływają ujemnie na przyrost tychże.

Wielkie znaczenie u pewnych gatunków dla rozsiedlenia ich i wzrostu drzew mogą mieć przymrozki wiosenne i jesienne. Pomijając już zupełne obumieranie drzew, utrata przyrostu, jaką wykazują liczne pomiary i doświadczenia, jakoteż zmrażanie kwiatów mogą kwestjonować lub utrudniać znacznie rozwój lub rozmnażanie się niektórych gatunków (np. dąb).

W zasadzie jednak skrajności temperatury nie wywierają zazwyczaj stałego wpływu na zasiąg tak, że nie stanowią właściwie nigdy wybitnie, zależnie zresztą od innych warunków zewnętrznych, o jego granicy na większych obszarach. Częściowo skrajności temperatur wywołują przy stalszem powtarzaniu się pewien rodzaj przystosowania dziedzicznego u roślin, przedewszystkiem związanego z wystawą narażoną na niebezpieczeństwo. W naturalnych okolicznościach, szkodliwy ich wpływ zazwyczaj słabnie, dzięki osłonie własnej i uodpornieniu. W pewnych także wypadkach skrajności temperatur stałe lub częściej powtarzające się, zmieniają zasiąg gatunku (w strefach wyjątkowo narażonych) z gromadnego na jednostkowy (buk ponad 800 m. n. p. m.).

Jednym z poważnych czynników, potęgujących i osłabiających działanie ciepłoty, jest wystawa terenu. Wiadomo, że od kierunku wystawy (nachylenia stoków), zależy wiele przejawów życiowych zbiorowisk roślinnych, związanych właśnie z warunkami klimatycznemi.

Stoki północne i północno-zachodnie odznaczają się większą wilgotnością gleby i powietrza, dzięki krótkiej stosunkowo i mniej intensywnej insolacji.

Dlatego też stoki te, zresztą do pewnych tylko wysokości nad poziom morza, tworzą środowisko bardziej sprzyjające rozwojowi roślinności i lasu, w przeciwieństwie do innych stoków (przeciwnych .

Te ostatnie zyskują dopiero w większych wysokościach, mając większe zasłonecznienie i wyższą ciepłotę w porównaniu do zimnych stoków północnych. Z drugiej strony jednakowoż stoki południowe bardziej narażane są na nagłe zmiany temperatury. Większe znaczenie ma tzw. „średnie wzniesienie" dziedziny górskiej, tj. wyniesienie tej płaszczowiny, do której dane obszary górskie zostałyby zrównane. Im średnie wzniesienie jest wyższe i zajmuje większą szerokość, tem zasiąg pionowy drzew jest wyższy. Wystawa posiada wreszcie poważny wpływ na okres bezśnieżny w górach, odpowiadający nieraz okresowi wegetacyjnemu, który częstokroć, jakkolwiek na małych przestrzeniach, warunkuje granice zasięgu. Ogromnie ważną w życiu rośliny jest wilgotność powietrza.

Trudno ją jednak ściśle oddzielić jako uchwytny, odrębny czynnik, wpływający przecież tak poważnie na rozwój roślinności, od wilgotności gleby i opadów atmosferycznych, czyli od wilgotności siedliska. Wilgotność stwarza najcharakterystyczniejsze cechy pewnych zbiorowisk roślinnych i zależy od oddalenia obszaru od morza, wysokości bezwzględnej i panujących wiatrów. Las wymaga zasadniczo wilgoci wyższej, aniżeli niektóre inne zbiorowiska, stąd też wilgotność warunkuje często egzystencję normalną drzewostanów (samosiew). Działając łagodząco na ujemne skutki nadmiernych ciepłot i nasłonecznienia, wpływając jako czynnik ekologiczny przedewszystkiem na glebę, wywiera ogromnie silny wpływ na rozsiedlenie drzew. Wilgotność wpływa u drzew rozstrzygająco na intensywność transpiracji, odgrywającą bodaj czy nie najpoważniejszą rolę w życiu rośliny. Badania wykazują, że wilgotność powietrza da się w większości wypadków najwłaściwiej określić „niedosytem" wilgotności, który jest różnicą prężności pary wodnej przy samej powierzchni rośliny a prężnością pary wodnej w powietrzu ją otaczającem. Im niedosyt ten jest większy, tem wilgotność mniejsza (czyli klimat suchszy).

Najniższe niedosyty, jako najwilgotniejsze części ziemi, wykazują okolice polarne i góry oraz tereny nadmorskie strefy umiarkowanej.

W okolicach o małym niedosycie (tzn. wilgotnych), rośliny tracą najmniej wody przy transpiracji.

Rośliny rodzimo występujące w pewnych strefach (góry, niziny) o specyficznym niedosycie, mogą, aklimatyzując się w odmiennych warunkach, częściowo stwarzać sobie odpowiedni okolicom rodzinnym niedosyt. W wielu wypadkach klimat lokalny będzie w tych i w innych wypadkach odgrywał rolę decydującą.

Idąc z krajów podbiegunowych ku okolicom cieplejszym, omijając ciepłe morza, zauważymy, że wraz ze zmianami, zachodzącemi w niedosycie, następują zmiany w rozsiedleniu drzew. I tak np. przy niedosycie, nie przenoszącym 10 mm, rośnie w danych strefach jodła, świerk, limba, modrzew; na obszarach o większym niedosycie spotyka się naturalnie występującą już tylko sosnę, wreszcie przy niedosycie 15 mm nie występują lasy, lecz pojawia się step. (D. Szymkiewicz. Sylwan 1923).

Dane powyższe zgadzają się z praktycznemi doświadczeniami leśników. Wiemy, że świerk, jodła i modrzew wymagają wyższej wilgotności powietrza aniżeli sosna, której niektóre własności techniczne, jak trwałość, twardość i drobnosłoistość, związane są z klimatem suchszym.

Z liściastych natomiast, dużej wilgotności powietrza wymaga n. p. olcha i buk, znacznie mniejszej brzoza itd.

Jednym z czynników niedocenianych, a mającym bardzo wielki wpływ na tworzenie się cech morfologicznych jednostek, rozprzestrzenianie lasu itd., jest wiatr. Jakkolwiek w pewnych okolicznościach da się przypisać tylko w odniesieniu do niektórych gatunków wielkie i wyraźne znaczenie jego w rozprzestrzenianiu (osika, topola, świerk), nie można niedoceniać znaczenia jego w nanoszeniu wody opadowej na miejsca, które z innych powodów sprzyjają już rozwojowi roślin (stoki półn.-zach.). Poważne znaczenie łagodzące wywierają wiatry w skrajnościach temperatury (np. posucha) przez przewiew w drzewostanach i glebie, jakoteż niezaprzeczenie dodatnio wpływają przez urabianie koron, oczyszczanie strzał, odśnieżanie niższych warstw powietrznych, szczególnie w miejscach nisko położonych, częściową regulację temperatury, wreszcie przez uodpornianie drzew na silne burze powietrzne, które kwestjonują nieraz istnienie znacznych przestrzeni lasu (obniżanie lub kurczenie zasięgu . Korzystne wreszcie mogą być przez osuszanie nadmiernie wilgotnych gleb lub warst powietrza (szybkość wiatru jest proporcjonalna do szybkości parowania), znoszenie okiści itd. Z drugiej strony, szczególnie przy współudziale innych zjawisk atmosferycznych (śnieg, grad itp,), bądź to będąc przyczyną ich powstawania (sadź, przy-

mrozki, susza), wreszcie przez pracę wywiewową i nawiewową w odniesieniu do gleby i zawartości powietrza, są wiatry tak mechanicznie, jak i fizjologicznie bardzo niekorzystne dla roślin.

Widoczne, bardzo wielkie nieraz szkody od wiatrów zwracają uwagę człowieka raczej w kierunku ochrony od nich, pozostawiając w cieniu ich pożyteczność.

Nowsze badania nad wpływem klimatu na grubienie drzew zdążają w kierunku wytłomaczenia przyczyn perjodycznych zmian, zachodzących w grubieniu. Ta bowiem kwestja, po pominięciu wytłomaczonego fizjologicznie przebiegu wzrostu i tzw. wzrostu wtórnego, nasuwa najwięcej niejasnych dla nas objawów w życiu rośliny drzewnej.

Najnowsze badania A Mallocka w 1917 r. (Growth of Trees 1919) dowiodły za pomocą bardzo precyzyjnego „dendrografu" (obręcz z aliażu żelaza i niklu), że grubienie drzew pozostaje w ścisłej łączności ze zmianami temperatury i opadań i że maximum dziennego przyrostu przypada na godziny poranne, a minimum w południe (wilgotność powietrza). Mac Dougal w r. 1918 (Growth of Trees 1921), kontynuując na podstawie „dendrografu" badania i przeprowadzając pomiary drzew w rozmaitych strefach klimatycznych, przekonał się, że okres przyrostu grubości bez względu na długość okresu wegetacyjnego, jest względnie krótki i że prócz okresu istotnego grubienia, wykazują drzewa zmiany „wyrównawcze". Mianowicie zauważył, że drzewa wykazują tyle przybytku w grubieniu, ile wynosił ubytek względnie niedobór w okresie poprzednim, dalej ogólny przyrost ujemny czyli kurczenie się pnia, wreszcie zastój w grubieniu. Ta kompenzacja ilościowa ogólnego przyrostu w danych warunkach wskazuje na dużą stałość ilościową rytmiki życiowej drzew. Wzrost na grubość zależy bezsprzecznie prawie jedynie od czynników zewnętrznych i to przedewszystkiem od temperatury (zwłaszcza temperatury dnia) i wilgoci gleby.

Nie wyklucza to jednak pewnych indywidualnych granic wzrostu, które istnieją w każdym organiźmie. Rytmika sezonowa życia nie odgrywa jednak takiej roli, jaką jej przypisuje się; raczej nie wchodzi w rachubę.

W miarę osłabiania się wpływu podniet zewnętrznych, następuje po osiągnięciu pewnego minimum wzrostu ubytek w przyroście. Nie mniej jednak, nadmiar podniety, a przedewszystkiem wilgoci, może powodować również kurczenie się pnia.

Inny badacz, A. E. Douglas, uzupełnia powyższe konkluzje badaniami i pomiarami u sosny, świerka, sekwoji i i t. d.

Sporządzając dokładne wykresy wzrostu i opadów, doszedł do wniosku, że w klimatach suchych grubość słojów jest proporcjonalna do opadów, z dokładnością 70—82%. W klimatach

wilgotnych, pozostaje grubienie drzew w łączności ze zjawiskami plam słonecznych, wykazując korelację między maximum plam a maximum przyrostu.

W obydwu wypadkach okazują drzewa powtarzające się okresy zmiennego grubienia stojów, odpowiadających zjawianiem się plam słonecznych.

Takie wybitne okresy powtarzające się w grubieniu drzew są następujące:

5— 6	letnie	odpowiadające	$^1/_2$	cyklu plam	słonecznych.
10—13	„	„	1	cyklowi „	„
21—24	„	„	2	cyklom „	„
32—35	„	„	3	cyklom „	„
100—105	„	„	9	cyklom „	„

Streszczone wyżej rezultaty badań, tłomaczą wprawdzie, choć niezupełnie pewnie, zjawisko perjodyczności wzrostu drzew, nie wyjaśniają go jednakowoż zupełnie, a nawet stają w pewnej sprzeczności z sobą.

Mac Dougal twierdzi, że wszystkie naogół drzewa okazywały w badaniach związek grubienia z opadami, Douglas zaś znajduje ten związek tylko w klimatach suchych.

Należałoby się raczej wypowiedzieć za pierwszem twierdzeniem, rozważając wpływ opadów na wzrost organizmów, który polega na fizycznem uwodnieniu kolloidów pierwoszcza i różnych chemicznych związków budujących żywą materję. Dopływ i stała obecność wody jest konieczna do odbywania się tych procesów.

Tak więc, dalej pozostaje nie jasną kwestja dodatniego widocznego wpływu opadów na wzrost drzew w klimacie suchym, a obojętnego lub ujemnego w wilgotnym.

Podobnie i nieregularne korelacje plam słonecznych i przyrostu, nie wyświetlają istoty zjawiska, raczej ją bardziej jeszcze zaciemniają.

Przypuścić należałoby, że obok czynników klimatycznych i indywidualne organiczne cechy drzew, a także ich wiek, odgrywa niepoślednią rolę w ich wzroście.

Cechy te, abstrahując od czystych linij dziedzicznej indywidualnej rytmiki życiowej, są bezsprzecznie najciemniejszym punktem dla oka badacza i kryją w sobie całą tajemnicę zachowania się życiowego organizmów drzewnych.

W cechach tych gubi się napróżno obserwator, bo okryte są szeregiem wpływów zewnętrznych łatwiej dostrzegalnych, jakkolwiek nie są niczem innem jak przejętemi, z wiekowej ewolucji zachowanemi, komplikacjami życiowego przystosowania do podniet zewnętrznych i to tak w swych cechach gatunkowych jak i we własnościach osobników.

Dlatego też, nie dają się nigdy wyraźnie ująć i zawsze

stanowić będą niewyjaśnioną, a zarazem najważniejszą stronę, życiowego przejawu rośliny.

Historji komplikacji życiowych (rozwojowych) nie możemy doczekać nigdy z jednostronnego punktu zapatrywania bo wnioski takie zaprowadziłyby nas na bezdroża. Z drugiej strony nie można ocenić należycie wszystkich możliwości i walorów podniet, które kiedyś lub nawet obecnie, wywołują przyczynowy odczyn u żywego organizmu.

Chcąc ująć warunki życiowe rośliny, zastanawiać się trzeba nad wszystkiemi możliwemi wpływami zewnętrznemi. Z punktu widzenia klimatycznego, trzebaby postawić te wpływy w zależności od charakteru klimatu, ujmującego w sobie ogół czynników klimatycznych, oddziaływujących na siebie, które bądź to działanie nie osłabiają bądź też wspierają (potęgują) się wzajemnie i komplikują. Dla ujęcia charakteru klimatu, trzeba ocenić przedewszystkiem decydujące czynniki w odpowiednich warunkach. Wiadomo, że czynnik będący w minimum, kształtuje formy życiowe roślin, bo do niego przystosować się musi roślina, aby się utrzymać (prawo minimum). Zdarza się jednak także, że czynnik minimum nie warunkuje sam wyłącznie egzystencji. Często bowiem zetknie się roślina z gatunkami o jeszcze niższych wymaganiach, rywalizującemi z nią i nie dopuszczającemi jej do osiągnięcia granicy zasięgu w minimum decydującego czynnika.

W ogólności, wpływy charakteru klimatu dają się ująć w sposób następujący:

Jeśli klimat ma wywołać ten sam skutek u rośliny, musi być przy wielkich wahaniach temperatury, średnia temperatura tak wysoka, jak przy wahaniach małych. Wahania temperatury są zatem ważne dla roślin, w zależności od charakteru klimatu (Brockmann-Jerosch).

Wahania w klimacie kontynentalnym są wielkie, w Oceanicznym małe, wskutek tego łatwiej osiąga swe cele fizjologiczne roślina i w stosunkowo nawet niższej średniej temperaturze w klimacie kontynentalnym, aniżeli w oceanicznym.

Panujący, mniej lub więcej wybitnie, u nas klimat kontynentalny, (zależnie zresztą od położenia wobec mórz) sprzyja rozwojowi drzew, wskutek niezbyt wielkiej wilgoci, braku stałego turgoru, braku większej ilości równowymagających konkurujących gatunków itd., a wskutek tego granice zasięgu rozciągają się daleko na północ i ku górze.

Klimat kontynentalny wpływa, jak z poprzedniego zresztą wynika, na skład flory (ubóstwo gatunków) i rozgraniczenie ich wybitne w granicach zasięgu, czego prawie niema u gatunków zwrotnikowych. Specyfikacja rozdziału uwidocznia się nieraz bardzo jaskrawo w zasięgu gromadnym i jednostkowym gatunków.

Również różne w klimatach kontynentalnym i oceanicznym, są gatunki stanowiące skrajne granice zasięgów, które poniekąd w swych minimalnych czynnikach, będą wskaźnikami charakteru całego klimatu, jako najłatwiej dająca się ująć ekspertyza.

Kilka powyższych uwag, zresztą niekompletnych i mających tylko na celu danie ogólnego poglądu na poważne braki naszych wiadomości z tej ważnej, podstawowej dziedziny bialogji drzewostanów, wyraźnie wskazuje na to, co powinno być dążeniem obecnego leśnictwa.

Dopiero poznanie życia lasu, tego niezgłębionego tworu przyrody, dać nam może wskazówkę prawdziwą, do racjonalnej, przyrodniczej, gospodarki lasowej.

J. ZIÓŁKOWSKI.

Szkody wyrządzone przez sówkę chojnówkę.

Spustoszenia spowodowane przez sówkę w obrębie Poznańskiej Dyrekcji Lasów Państwowych są ogromne, a straty stąd wynikające — zwłaszcza w młodszych drzewostanach — nie dadzą się dzisiaj jeszcze w cyfry ująć. Faktem jest, że nawiedziła nasze lasy straszna klęska żywiołowa, bezsprzecznie największa jaką notuje od wieków literatura leśna. Nie ulega wątpliwości, że sówka przyszła z Zachodu, gdyż przy próbnych zbieraniach szkodliwych owadów znaleziono w jesieni 1921 r. stosunkowo niewielki procent poczwarek sówki chojnówki, zaś badając dzisiaj wyrządzone szkody, konstatujemy, iż im dalej na zachód tem smutniejszy przedstawia się obraz zniszczenia. W niemieckich nadleśnictwach Weitre i Hammerheide, graniczących z lasami polskiemi, wycina się olbrzymie przestrzenie na czysto, a w nadleśnictwie Hochzeit pod Krzyżem już podobno w starodrzewiu kora ze stojących drzew odpada — wynikałoby stąd, że sówka tam już od roku 1921 żerowała i w następstwie tejże kornik na dobre się panoszy.

Klęsce, spowodowanej przez sówkę, zapobiec względnie przeszkodzić nie zdolną była ludzka siła, nie mamy też sobie nic do zarzucania, nie zaniedbaliśmy bowiem żadnych środków obronnych. Obowiązek nasz sumiennie spełniliśmy, starając się wszelkimi możliwymi sposobami uchronić chociażby tylko młodsze drzewostany i klęskę zlokalizować. Wysiłki wszelkie i nakłady były poprostu bezcelowe, gdyż drzewostany, które ocalały w roku poprzednim, zniszczyła sówka w bieżącym.

Motyl składał jajka wobec braku szpilek u drzew wyższych, w młodnikach, a nawet na kilkuletnich kulturach (rys. 1.). Ma

się rozumieć że ostatnie nie uległy zniszczeniu, gdyż gąsienice tam zbierano wzgl. strząsano i deptano (rys. 2).

Obecnie sówki już niema. Klęska zosta zupełnie zlikwidowaną, a sówka, jak nagle i niespodziewanie wystąpiła, tak też szybko i doszczętnie wyginęła. W głównej mierze przyczynił się do tego grzybek empusa aulicae. Gąsienice sówki zniszczone zostały w przeciągu kilka dni przed ukończeniem zwykłego okresu żerowania.



Rys. 1.

Pierwszą wiadomość o masowem odumieraniu gąsienic otrzymałem od pana asesora Stryczyńskiego z nadleśnictwa Leszno w dniu 25 czerwca. Sówka tam jak również w nadleśnictwie Mochy, a zatem w południowej części lasów Dyrekcji Poznańskiej, wystąpiła w znaczniejszej ilości dopiero w roku bieżącym poraz pierwszy i — dziwna rzecz — tam najwcześniej wyginęła. W lasach północno-zachodniej inspekcji, a mianowicie w nadleśnictwach: Wronki, Potrzebowice, Drawsko, Bucharzewo, Sieraków i Międzychód, gdzie żer był trzyletni zauważyłem dopiero w dwa dni później, t. j. dnia 27 czerwca, charakterystyczne objawy pomoru



Rys. 2.

Gąsienice, opadnięte grzybkiem empusa aulicae pokryły się pyłkiem brudno-żółto-zielonawym i zamierały w postawie wykazanej obok (rys. 3).



Rys. 3.

Niemniej ważną rolę w zlikwidowaniu klęski zajęła t. zw. choroba krystalikowa. Gąsienice zakażone tracą zwykły swój kolor, stają się leniwe, nie żerują i zamierając zwisają na jednej środkowej parze nóżek, jak podwójny woreczek.

Skutki żerowania są bardzo rozmaite, zależnie od warunków mniej lub więcej rozwojowi gąsienic sprzyjających.

Młode gąsienice zazwyczaj spuszczają się z rozmaitych przyczyn na przędzy w dolne partje koron i po ogołoceniu tychże ze szpilek, posuwają się ku górze. Pędy majowe, głównie zaś długie, wierzchołkowe, pozbawione szpilek, z korą uszkodzoną, zalewają się żywicą, która w czasie pełnej wegetacji z ściętych szpilek obficie występuje, więdną i usychają. Z reguły pozba-

wiona szpilek sosna nie odumiera, skoro utworzyła się jeszcze dostateczna ilość zdrowych, zdolnych do rozwoju pączków. Stare drzewostany są odporniejsze na wszelkie uszkodzenia i ogołocenia ze szpilek, niż drągowiny i młodniki. Na tej zasadzie pokładaliśmy nasze największe nadzieje utrzymania starszych, silnych w rozwoju drzewostanów przy życiu.

Ogołocone ze szpilek sosny tworzą z bocznych pączków w jesieni nowe pędy, t. zw. rozetki (rys. 4, 5 i 5a). Krótkie to pędy, o wierzchołkowato zestawionych pojedyńczych wątłych szpilkach, jak również tworzące się ew. pędy przybyszowe, wycieńczają w wysokim stopniu drzewo, i dla tego uważać je należy za zwiastuny śmierci.



Rys. 4

Długa a wilgotna i ciepła jesień dodatnio wpłynęła na rozwój wyżej wspomnianych pączków i pędów.

Na pozór stracone drzewostany zazieleniły się w późnej jesieni i jest nadzieja utrzymania ich przy życiu, Rozetki, jak i pędy przybyszowe, miały dość czasu na zdrewnienie i, mimo silnych już mrozów, dotąd zachowały zupełnie zdrowy wygląd.

Prace przy zrębach rozpoczęte z wszelką ostrożnością pod koniec czerwca, postępują teraz już w przyspieszonem tempie. Pobudowano liczne baraki dla robotników, przybywających z dalszych stron, i obecnie pracuje przy wyrębie w wspomnianej inspekcji 4.350 robotników, prócz kobiet i dzieci, zatrudnionych przy korowaniu drewna. Najnowsze zestawienie wykazuje 15.293 ha zrębów czystych i 6.537 ha przerębowych powierzchni.



Rys. 5.

Do końca listopada wyrąbano drewna budulcowego 113.200 m³ i 284.000 m³ kopalniaków.

Spodziewaną ogólną masę drewna obliczono na:

budulcu	635.000 m3
kopalniaków	1.269.000 „
opałowego	296.000 „

Część budulcu, a mianowicie około 80.000 m³ z nadleśnictw Potrzebowice i Drawsko, już sprzedano i osiągnięto za m³ I kl.

25,60 zł., za II kl. 20,00 zł., za III kl. 14,00 zł., za IV kl. 12,00 zł. Za kopalniaki których również już dość znaczną ilość sprzedano, płacą 8,00, 8,50 a nawet 9,20 złotych, sprzedano 10 000 mp. wałków opałowych po 4.80 złp. za mp.



Rys. 5a

Jak z powyższego wynika, pomimo tak znacznych ilości drewna rzuconego na rynek, ceny się nie obniżyły, i ze względu na bardzo wielkie zainteresowanie firm poważnych tak zagranicznych jak i krajowych należy się spodziewać nadal utrzymania się cen na dotychczasowym poziomie.

Przejdziemy teraz do głosów prasy zagranicznej na temat szkód, wyrządzonych przez sówkę-chojnówkę.

Wolff pisze w nr. 30 „Deutsche Forstzeitung": Sówka-chojnówka wcześniej znana była leśnikom, niż zoologom. W r. 1725 bowiem zniszczyła lasy sosnowe Frankonji do tego stopnia, iż zanik drzewostanów trwał aż do r. 1734, lecz w pismach Linné'go wymienioną nie była. Pierwszy opis sówki znajduje się w „spisie motyli okolicy Wiednia", wydanym przez prof. przy gimnazjum w Wiedniu J. Schiffermillera w r. 1776. Zaliczono tam sówkę do gatunku „flammea". Prof. F. H. Loschge nazwał tego motyla Noctua piniperda, z czego wynika, iż znał jego szkodliwość („Piniperda" znaczy „niszczycielka sosen").

Rozmnożenie się sówki różni ludzie, uważający siebie za najbardziej kompetentnych, przypisują rozmaitym przyczynom. A więc rozpowszechnionem jest zdanie, że do masowego rozmnożenia się tego szkodnika przyczyniła się w wysokim stopniu nowoczesna gospodarka leśna, idąca w kierunku masowego kultywowania sosny, a zaniedbująca dęby i buki. Lecz zwolennikom tej teorji przypomnieć należy, iż nie każda gleba nadaje się do sadzenia tych rodzajów drzew, a o rentowności lasu w pierwszym rzędzie decydują drzewostany sosnowe. Inni znów niezliczone razy opowiadają ładną bajkę o sikorce, która rzekomo ma wytępić sówkę, a której „wzorowa" gospodarka nowoczesna ma obrzydzać pobyt w naszych lasach. Lecz ci zapaleńcy nie odróżniają widocznie owadów szkodliwych od pożytecznych i zapominają o tem, że po ustąpieniu sówki wszystkie sikorki zginąć muszą śmiercią głodową. Gdyby więc wszyscy ci „kompetentni" mieli słuszność, niewątpliwie mogliby odpowiedzieć na pytanie, co było przyczyną żeru sówki w wieku XVIII i na początku XIX-go kiedy nie znano takiej gospodarki leśnej, jaką prowadzi się obecnie.

Muszą oni też wyjaśnić, dlaczego sówka występuje w pewnych stałych czasokresach, i to w ilości niewiększej, niż w stuleciu ubiegłym.

Przekonanie, iż grzyby i jagody, pochodzące z okolic nawiedzonych klęską sówki, są trujące, nie jest na niczem oparte. Kilka zameldowanych zasłabnięć niczego jeszcze nie dowodzą. Sówki w tych wypadkach nie można uważać za winną. Gorzej byłoby, gdyby sówce udało się wyrządzić tę szkodę, jaką już wyrządzała nieraz, a mianowicie gdyby właściciele lasów bez dłuższego namysłu wycięli objedzone obszary. To też w tym wypadku gorąco zaleca się przezorność i skrupulatne zbadanie, czy las niechybnie zginąć musi. Przezorność jest tem bardziej zalecana, iż niejednokrotnie uważano za zgubione bezpowrotnie te drzewostany, które następnie powracały do stanu pierwotnego w bardzo szybkiem tempie. Pamiętać należy, iż nawet drzewa, które uległy dwukrotnemu objedzeniu przez sówkę, są jeszcze żyjące, łyko w nich jeszcze białe i żywe. Entomologowie leśni twierdzą, iż wpłynęły bardzo dodatnio opady atmosferyczne i ciepłe powietrze na rozwój zarazy grzybnej pomiędzy gąsienicami sówki, w obszarach całkowicie objedzonych, tak, że trudno jest przypuszczać, że się utrzymają gąsienice zdrowe, zdolne do przepoczwarzenia. Prawdopodobnie pokaźniejsze ilości poczwarek okażą się tam, gdzie objedzenie nastąpiło w nieznacznej mierze, a przez to nie rozpowszechniły się wznieciciele chorób i pasożyty. Stwierdzonem jest, iż ocalały drzewa, położone w pobliżu mrowisk. Aczkolwiek objaw ten jest zastanawiający, trudno jednakże przypuścić, że ratowanie drzewostanów przez sztuczne zakładanie kolonij mrówek byłoby racjonalne.

Powracając do klęski, wyrządzonej w roku bieżącym przez sówkę, raz jeszcze należy przestrzec osoby zainteresowane przed zbyt pochopną decyzją co do wycinania uszkodzonych drzewostanów. Opinja publiczna w tym względzie jest zbałamucona przez nieodpowiedzialne, niefachowe osoby, upatrujące w szkodach wyrządzonych przez sówkę, klęski niepowetowanej i widzące jedyne wyjście — wycinanie masowe lasów. Lecz sprawę traktować należy spokojnie i z rozwagą. Wszak swego czasu określano obszar skazany na wycięcie na Śląsku, podczas żerowania sówki w ostatnich pięćdziesięciu latach zeszłego stulecia, na kilka tysięcy morgów, a faktycznie wycięto tylko 100. Objedzona sosna broni się przed śmiercią lat kilka. Za ten czas można pomyśleć o celowem przechowaniu drewna, dogodniejszem spieniężeniu. Natomiast posiedziciele lasów, ścinający zniszczone obszary zbyt pośpiesznie, doznają strat podwójnych: na cenie drewna i na kosztach zalesiania, które niechybnie podniosą się bardzo znacznie.

Można więc powiedzieć z całą stanowczością, że o tak szybkiem obumarciu obszarów leśnych, jak wieści krążą, mowy być nie może Już rozpościera się wskutek przesunięcia się igieł, słaby zielony blask nad koronami, które jeszcze przed kilku tygodniami wznosiły się ku niebu, jak rdzawy chróst. Musi być również zbadany stan zdrowotny poczwarek. Wreszcie pamiętajmy, że nie jesteśmy bezbronni Metoda zgrabiania ściółki zawiodła w tym roku wyjątkowo, bo wały, zamiast wywołać rozwój pasożytów, przemarzły do samej ziemi. Do najbliższych zadań należy zbadanie, czy nie będzie skutecznym sposób walki za pomocą środków natryskowych lub gazów trujących.

„Deutsche Forst-Zeitung" w n-rze 34 w następujących słowach komentuje wystąpienie i żer sówki.

Z miarodajnego źródła otrzymujemy następującą wiadomość:

W ostatnich miesiącach dużo pisano w gazetach o spustoszeniu lasów, jakiego dokonała sówka - chojnówka w lasach sosnowych wschodnich części kraju. Czytano o „obumarciu niemieckich lasów", które to obumarcie silnie przesadzono. Zdaje się, iż w ogólnym interesie leży wystąpienie przeciw tej przesadzie i należałoby wyrażane w dotychczasowych artykułach obawy skierować na właściwą drogę. Według obecnych danych statystycznych obżarła gąsienica 169.700 ha całkowicie i 320.600 ha częściowo. Żerowanie skończyło się w ostatniej dekadzie lipca, kiedy gąsienice z różnych powodów zanikły. Wielką ilość gąsienic i poczwarek wyniszczyły grzyby, jak empusa aulicea i isaria farinosa, tak nieprzyjaciele ze świata owadów i ptaków (mrówki, szczypawki, kosy, wrony, sikory) oraz ssawce (myszy, jeże, borsuki, dziki). W ostatnich 4-ch tygodniach zazieleniły się gołe drzewa do 90%; z pozostałych 10% niewątpliwie większa część również się odmłodzi. Jeśli tylko sierpień obdarzy nas normalną ilością opadów, można będzie liczyć na to, iż utrzyma się przy życiu 93—95% ogołoconych z igieł drzew.*)

Najbardziej nawiedzonym przez gąsienicę jest obwód Frankfurtu n/O. W państwowych lasach tego obwodu tegoroczne zręby wynosić będą 1.800.000 m_3, podczas gdy normalnie wynosiły ona 900.000 m^3. Państwowy zarząd leśny zarządził, by nadwyżkę zrębów etatowych w okręgu frankfurckim zaoszczędzono w innych okręgach. Zalanie więc rynku światowego niemieckiem drzewem, zniszczonem przez sówkę, jest wykluczone. Według statystyki urzędowej musiałyby Niemcy importować w roku 1923/24 około 9.000.000m_3 celem pokrycia własnego zapotrzebowania. Ponieważ dzięki ministerjalnym rozporządzeniom nie zwiększy się, mimo klęski sówki, wyrąb w zimie roku

*) Zbyt śmiałe twierdzenie (przyp. Redakcji).

1924/25, jasnem jest, iż w tym roku Niemcy, jak zwykle, będą musiały importować miljony m^3 drewna, a w żadnym razie nie można liczyć na większy eksport, który przyczyniłby się do poprawy naszego bilansu handlowego.

Więc niech się uspokoi posiedziciel leśny i czytelnik niemiecki, natura sama sobie pomogła, i las niemiecki pozostanie we wschodnich częściach utrzymany. Leśnicy muszą mieś oczy otwarte i pilnie baczyć, by las przez gąsienice sówki objedzony, mający obecnie mniej sił żywotnych, nie nawiedziły nowe kataklizmy. Doświadczalnie stwierdzono, iż osłabione drzewo jest wymarzonem miejscem dla kornika i innych chrząszczy, jak Hylesinus piniperda, Pissodes piniphilus i Bostrichus lineatus. Możemy mieć zaufanie do dobrze wyszkolonego niemieckiego leśniczego, że będzie miał oczy otwarte, i drewna z kornikami zawczasu usunie i na następną wiosnę młode chrząszcze na specjalnie w tym celu spuszczonych drzewach wyłapie, a przez okorowanie i spalenie kory zupełnie kornika wyniszczy. Obawa i troska o las niemiecki były, Bogu dzięki, przesadzone, a interesa pieniężne, które niejedni handlarze drewna już rozpoczęli, w puch rozwiane zostały. Większa część handlarzy drewna — a liczy się im to wysoko — już w początkach żerowania sówki-chojnówki wyraziła swe zdanie, że nadmierne zręby tak dla handlarza drewna, jak i posiedziciela lasów będą szkodliwe.





HENRYK SIENKIEWICZ.

Pieśń litewskich borów.

Wyszedł raz srogi ukaz do litewskich borów,
Aby nie śmiały szumieć, ani modlić, ani
Mruczeć inaczej swoich wieczornych nieszporów,
Jak na suzdalską nutę: „Boże, caria chrani".

Trwoga padła na puszczę. Stoją ciche drzewa,
Jak wynurzon z wód łona bór zakamieniały.
Ani zwierz się nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa,
Dzięcioł boi się nawet pukać w pień spruchniały.

Diejatiele zaś krzyczą, potrząsają knuty:
„Bór się boi. więc zagra wedle carskiej nuty"!

Wtem wstaje wiatr — i leci od zachodniej strony.
Już spadł na gonnych sosen wyniosłe korony,
Mruknęły dęby, trzęsie liściami brzezina.

Słuchajmy! pieśń się jakaś wśród puszczy poczyna
I brzmi coraz potężniej między konarami:
„Święty Boże, a mocny, zmiłuj się nad nami"!

Ks. L. NIEDBAŁ.

Ciężkie czasy*)

Wiatr dął z północnego wschodu. Wszystko, co żyło w górach, uciekało przed nim; myszy i wiewiórki, zające i sarny, lisy i borsuki pochowały się w kryjówkach swych; myszołowy i wrony, sikorki i sójki, gnane wichrem poprzez wierchy, szukały schronienia w zachodnich stokach gór. Chwycił trzaskający mróz. Pszenica pod lasem wymarzła, kora dębów pękała, w okowach lodowych zdrętwiał strumyk, zniknął potok.

Przez siedm dni wiew lodowaty hulał w kraju, zanim wyszedł mu dech. Z poza gór wyłaniała się zwarta ściana ciemnobłękitnych, groźnych chmur, podobna do potworu, który zasłonił jasne, kryształowe niebo i zawisł ciężko nad krajem, dopóki nie rozpruł sobie kadłuba o skaliste turnie.

I począł z niej sączyć się biały, miękki puch, i sączył się dzień i noc, i jeszcze jeden dzień i jedną noc, i jeszcze dobę, aż przykrył wszystko w dolinach i w górach, i cały kraj tak czysto wyglądał i tak chędogo, że słońce aż uśmiechało się radośnie. Uśmiech ten ożywił wschodnie stoki gór. Sarny znów się zjawiły i zające, lis i borsuk opuściły swoje nory, wiewiórki swoje gniazda, myszy swoje jamy, ukazały się myszołowy, wrony i sójki, i wszędy zaroiło się od pstrego, wesołego ludku drobnego ptactwa. Lecz uśmiech słońca był zdradliwy, przyniósł bowiem śmierć i zniszczenie. Tający śnieg zbił się i łamał konary i pnie, zginał świerki, gniótł młodą buczynę, i powlókł się w górach skorupą twardą jak lód, ostrą jak szkło. Po wypoczynku wschodni wiatr od nowa dął ku szczytom.

Ciężkim krokiem nędza wkraczała w góry i rozpoczęła swoje panowanie.

Myszy miały ganki pod śniegiem, wiewiórki obywały się pąkówiem i korą, zające ściągały pod osady w dolinie, jaźwce przespały ciężki czas, lisy poczęły odwiedzać kopce mierzwy.

Atoli najgorzej wiodło się sarnom. Ozimina przywalona była białym, twardym jak kamień całunem. Żołądź i bukiew znikły w lesie. Maliny były zaśnieżone, jeżyna zawiana, zarośla w lśniący, gęsty spowite kożuch. Pączki bukowe i chudy chwast, suche liście i twarde łodygi — oto wszystko, czem góry darzyć mogły.

W lasach włóczył się głód. Sarny, na które wzrok jego padł, ginęły; szyje ich wydłużały się, połcie wpadaty, włos sukni stawał się szorstki, świece coraz większe. Pomału i ostrożnie

---

*) Nowelka ta, podobnie jak nowelki „Arcysara zgon' i „Szydlarz", podane w poprzednich zeszytach „Przeglądu Leśniczego", są fragmentami z książki, która ukaże się pod tytułem: „Kartki z życia zwierząt" w pierwszych miesiącach przyszłego roku. Przyp. Red.

wlokły się wzdłuż stoków, lecz wszelka przezorność na nic się nie zdała — jedna sztuka za drugą zarywała się w oblaszce i przecierała sobie cewki. Każdy przesmyk świecił blado-czerwonemi plamami. I znowu ciemno-niebieska ściana wyrastała z za gór, zasłoniła śmiejący się błękit, zawisła groźnie nad krajem, rozszczepiła się o skały i sypnęła śniegiem przez dzień cały i przez całą noc. I znowu słońce pokazało zdradliwy swój uśmiech i zamieniło śnieg na bryły lodowe. Jeszcze wolniej, jeszcze ostrożniej wlokły się sarny o szyjach jak patyk cienkich, o czarnych, zapadłych połciach, i gdziekolwiek stąpały, rumienił się śnieg. W lasach czaiła się śmierć. Nie było na stokach górskich żadnej sztuki, której biegi straszliwej nie głosiłyby skargi. Jedna ustawała na miejscu, gdzie się właśnie znajdowała, poczęła trząść się, drżeć — i padła. Inna położyła się i już nie podniosła się więcej. Jeszcze inna, półżywa z pragnienia, staczała się w jar, gdzie źródło tryskało, i skostniała w wodzie, zimnej jak lód.

Nigdy jeszcze lis nie miał tak dobrych czasów, jak teraz; stół jego bogato był zastawiony, zapasy sute, sutsze, niż w porze majowej, gdy myszy się lęgą, i pole obfituje w młode zajączki. Podobnie i kuna mogła być zadowolona, niemniej myszołów i wrona; nawet sikorki w wzorzystych sukienkach nie mogły narzekać, a myszy leśne obgryzały kości padliny z ostatnich strzępów ścięgien.

Nie było końca nędzy; dzień w dzień śmierć obchodziła swój rewir górzysty. Nawet zającom nie przepuszczała; niejeden z nich ginął od zmarzniętej karmy i sam stał się pożądaną strawą dla lisa, który tył z dnia na dzień. Pewnego poranka wszakże wrócił on do swej jamy z próżnym żołądkiem. Przed gęstym zagajem znalazł był leżącą sarnę, którą już poprzedniej nocy się delektował. Lecz gdy teraz powtórnie do padliny się zbliżał, dziwna uderzyła go woń, woń, którą dotąd raz dopiero w życiu spotkał. Okalał więc miejsce, gdzie sarna leżała, i godzina upłynęła, zanim znalazł odwagę bezpośrednio się zbliżyć. Stanął i wietrzył i oczył długo, wkońcu z kitą zwieszoną i uszami założonemi smutny nawrócił, bo jego sarny tam już nie było; nie zastał nic, krom raciczek, kilku strzępów sukni i owej nikczemnej, a jednak nęcącej woni.

A śmierć wciąć jeszcze czatowała w lesie, i tłukła twardą pięścią jedną sztukę po drugiej. Lis nie tracił odwagi; rączo sznurował od przesmyku do przesmyku, póki nie spotkał sfarbowanego tropu. Szedł za nim, choć niełatwem to było zadaniem. Śnieg sypał się, sypał się wciąż, i wiatr ostry dął, zgarniał i zmiatał go z halizu przed gęste zagaje, zakrywał nim trop na długie przestrzenie i całkiem go w końcu zatarł. Lis przeszukał cały wysoki las, wrócił do miejsca, gdzie napotkał farbę i znowu

szedł za nią aż do wielkiej zaspy, gdzie stracił trop. Tu przesiedział długą chwilę i podyndował dalej głodny, znużony i markotny. Przeszukał zagaje, które stanowiły ostoję sarn — były puste; czaił się przez drągowinę — była martwa. Posznurował nad potokiem aż do zagajników u stóp gór, lecz i tu nie było inaczej.

Wychylił się tedy z gąszczu, aby przy stogach pomyszkować! Dyndując przez pole, napotknął się niespodzianie na sfarbowany trop i zapomniał nagle o wszystkich myszach. Śpiesznie, acz ostrożnie, ciągnął za farbą aż do parawanu świerkowego pod wysokim lasem. Postać jego stawała się coraz dłuższą, bo trop był coraz świeższy. Lis już był w świerkach, gdy nagle wypadł z nich jak oparzony i rwał co sił w pole. W świerczynie bowiem kusiło; słychać było trzask tak głośny i ostry, jak gdyby człowiek tam chodził, i sapało coś i parskało jak żaden zwierz leśny nie sapa ani parska.

Rabuś zatrzymał się dopiero pod rosochatym dębem polnym, i tu, bezpieczny już, namyślał się. Postanowił poradzić się wiatru. Szerokim łukiem posznurował wzdłuż podgórza, zniknął w wąwozie wysokiego lasu, podyndował ponad pasem świerkowym przez drągowinę i podkradał się bliżej. Właśnie księżyc rozsuwał chmury, gdy rabuś stanął przed świerczyną. Cicho w niej było i pusto. Mikita, przyczaiwszy się jeszcze bliżej nieco, zaciągnął się wiatrem. Woń sarnia uderzyła jego wietrznik. Pomału więc podpełzał ku gęstwinie, przystanął, jeszcze odrobinę posunął się w stronę, skąd go dochodził nęcący odwiatr — i nagle odskoczył. Była tam bowiem inna jeszcze woń, owa obca woń, która go już wpierw była uderzyła u padliny, co mu gdzieś przepapadła, woń nieznana, podejrzana, dziwna, tajemnicza, nikczemna, ani ludzka, ani psia, a niewyraźna jakaś i w żadnym razie nie zasługująca na zaufanie. A teraz dochodziły go tony obce jakieś i zagadkowe — jakby dmuchanie, jakby parskające sapanie, zupełnie jak nocą w chlewach na podwórzach. Lis nawrócił i zemknął. Nie dowierzał sprawie.

Obłok o żółtym brzegu zakrył księżyc, i śnieżyca rozpoczęła się od nowa. W świerczynie zafukało głośniej, w śniegu zatrzeszczało, w suszu załomotało, i z gęstwy wysunęło się coś czarnego, zgroźnego; przystanęło, rozgłośnie wietrzyło, zbliżyło się do padliny, łamiąc z łoskotem twardą oblaszczkę, badało raz jeszcze wiatr i zabrało się do żeru. Puszczyk, który co wieczór krążył koło świerków, aby mysz lub ptaszka złowić, pławił się przez moment ciekawie nad małą gołaźnią, z której rozlegało się głośne, łakome cmokanie i kląskanie, zmieszane z zgrzytem oblaszczki i trzaskiem łamanych kości. Puszczyk odleciał — gdzie taki hałas, tam dla niego nie było się czego spodziewać.

Gdy mikita nad wieczorem następnego dnia przeszukiwał pas świerkowy, znalazł w miejscu, gdzie sarna leżała, znowu tylko raciczki, trochę zmiażdżonych kości i kilka strzępów skóry, rozrzuconych w porytym, stratowanym, zwalanym śniegu. Resztę pożarł był dzik, obcy przybysz z dalekich stron.

W lesie wciąż jeszcze chodziła śmierć, lecz lisa niczem już nie obdarzyła. Każda sztuka, którą głód i oblaszczka zabiły, znikała w paszczęce dzika; a mikita odczuł również, że nastały ciężkie czasy, czasy głodu i nędzy.

Komunikaty.

SPRAWOZDANIE

z zebrania zarządu i delegatów Oddziału Poznańskiego Związku Zaw. Leśników w Rz. Pol., odbytego w dn. 26. XI. 1924 r.

Początek zebrania o godz. 11,40.

Obecni członkowie zarządu: Przybylski, Nowak, Szumiński, Maleszewski.

Obecni delegaci: Alkiewicz, Krzyżagórski, Kaźmierczak, Tomaszewski, Wojterski, Wosczyński.

Obecni goście: Gottwald, Hoszowski.

Obradowano nad następującemi sprawami:

1. Po zagajeniu zebrania proponuje przewodniczący i uzyskuje zgodę zebranych, aby wysłać zapytanie do kolegi Lorkiewicza, przeniesionego do Torunia, czy wysyłać mu wobec znacznego oddalenia i nawału zajęć zawiadomienia o posiedzeniach zarządu, w którym zajmuje miejsce zastępcy przewodniczącego. Następnie proponuje wybór drugiego zastępcy i stawia kandydaturę kol. Tomaszewskiego z Zielonki, którego członkowie zarządu przez aklamację kooptują.

2. Srawa p. Ł. Powziętą uchwałę polecono zarządowi rozesłać poufnie do wszystkich dyrektorów inspektorów i nadleśniczych Województwa Poznańskiego i Pomorskiego.

3. Sprawa członkostwa honorowego. Uchwalono przesłać Gł. Zarządowi odnośne zapytanie. Treść debat uznano za poufną.

4. Sprawa baonów strzeleckich. Przewodniczący referuje, że w wykonaniu uchwały ostatniego Walnego zebrania Oddziału z dn. 24. VIII. przesłał Głów. Zarządowi wniosek podjęcia inicjatywy w sprawie utworzenia baonów strzeleckich i odczytuje otrzymaną odpowiedź, żądającą uzasadnienia wniosku. Ponieważ swego czasu z Koła Bydgoskiego wpłynął do b. Filji

odpowiednio umotywowany wniosek w tej sprawie, przewodniczący proponuje aby na ten wniosek się powołać, i zebranie na to się godzi. Ponieważ uchwała ówczesnego Walnego zebrania zawierała ponadto żądanie, aby i do tutejszego Dowództwa Okręgowego zwrócić się w tej sprawie, proponuje przewodniczący wybór delegatów, którzyby z odpowiednim memorjałem udali się do Pana Generała Raszewskiego z prośbą o poparcie sprawy w Ministerstwie. Do delegacji wybrano kol. Rolińskiego i Ziółkowskiego z prawem kooptacji trzeciego członka do opracowania memorjału.

5. Sprawozdanie delegatów ze Zjazdu w Warszawie w dn. 25. i 26. X.

Przy tym punkcie wyłoniła się obszerna dyskusja nad przebiegiem obrad Zjazdu, wyborem zarządu i niewprowadzeniem wniosku naszego Oddziału do programu tegoż Zjazdu. Zajmowano się też bardzo szczegółowo małym dysonansem, zaszłym w łonie delegatów Oddziału. Szczerze koleżeńska i rzeczowa wymiana zdań, jaka w tej sprawie nastąpiła, przyczyniła się w zupełności do należytego wyjaśnienia sprawy.

6. Pismo Koła Jarocińskiego w sprawie wystąpienia p. Woźniaka na ostatniem Walnem zebraniu Oddziału.

Pisma tego postanowiono, wbrew życzeniu Koła, nie umieszczać w Przeglądzie Leśniczym ze względu na to, iż repliki rzucane pod adresem p. Woźniaka w odpowiedzi na jego zarzuty nie były dosłyszane u stołu prezydjalnego i miały miejsce już po zamknięciu zebrania. Co do osoby p. Woźniaka, to poinformowano prezydjum, że to ten sam, który swe wystąpienie ze Związku zgłosił.

7. Sprawozdanie z wycieczki do lasów Jarocińskich. Polecono zarządowi by dał odpowiedź zarządowi Koła Jarocińskiego, dla jakich powodów nie może być sprawozdanie wydrukowane.

8. Odznaki członkowskie. Przewodniczący zawiadamia zebranych, że w sprawie zamówień będą się zarządy Kół wprost znosiły z Głównym Zarządem celem uniknięcia kosztów na przesyłki pośredniczące i na zbyt długą procedurę, zanimby się ogół Kół zdeklarował.

9. Składki na fundusz prasowy. Sprawę tę postanowiono podać do wiadomości po otrzymaniu bliższych szczegółów, czyli po opublikowaniu sprawozdania ze Zjazdu delegatów, na którym odnośna uchwała zapadła.

10. Zatwierdzenie nowych członków. Na podstawie przesłanych przez odnośne Koła deklaracji zatwierdzono następujących nowych członków Związku: Z Koła Czarnkowsko-Chodzieżskiego 1. Dyliński Kazimierz, dozorca leśniczy w szkole

Margonińskiej; 2. Górny Juljan, pom. leś.; 3. Batory Józef, pom. leś.; 4. Wrembel Fran., pom. leś.; z Koła Połajewo: 5. Kaszkowiak Ignacy, str. leś.; 6. Szymeczko Karol, str. leś.; 7. Sommerfeld Michał, podleśniczy; 8. Kreutzinger Bogdan, prakt. leś.; 9. Jędrzejczak Tadeusz, uczeń leśny, 10. Ratajczak Fr., pom. leś.; 11. Dudek Wincenty, leśniczy; z Koła Śmigielskiego; 12. Dolata Wawrzyniec borowy.

Na tem porządek obrad wyczerpano i posiedzenie zamknięto o godzinie 16,30.

Sekretarz: Maleszewski. Przewodniczący: Przybylski.

Różne.

Odezwa do Leśników b. zaboru pruskiego.

Na ziemiach zachodnich Rzeczypospolitej, mamy tylko jedną Szkołę dla leśniczych — Szkołę w Margoninie.

Wiecie Wszyscy, że leśniczy ma być podstawą sprawnej administracji leśnej, musi posiadać duże praktyczne wykształcenie zawodowe by móc sprostać swym zadaniom. Aby Szkoła mogła dać młodym adeptom w ciągu nauki choćby tylko pogląd na prace praktyczne, musi posiadać odpowiednie zbiory, okazy i modele z dziedziny leśnictwa, łowiectwa i innych nauk pomocniczych.

Materjału do zbiorów nie da się zebrać w jednym nadleśnictwie, trzeba do tego współudziału wszystkich leśników naszej dzielnicy, rozsypanych od Puszczy Pszczyńskiej aż po siwy Bałtyk, na zachodnich rubieżach Polski.

Niech żaden z Was nie zapomina o tem, że celem naszym wspólnym powinno być podnoszenie poziomu wiedzy zawodowej, a przyczynić się do tego można przez danie odpowiednich warunków do nauki tym, którzy dziś nowo zaciągają się pod nasz zielony sztandar!

Niech każdy leśnik stara się dorzucić cegiełkę do stworzenia zbiorów Szkoły! Byli uczniowie Szkoły! Nie zapominajcie o obowiązku Waszym wobec Tej, która Wam dała zawód do ręki!

Nadsyłajcie wszelkie osobliwości botaniczne i zoologiczne, okazy chorób drzew, rzadsze owady szkodliwe w leśnictwie, zasuszone rośliny, gałązki rzadko spotykanych drzew i krzewów, egzotów, przekroje pni drzewnych godnych uwagi, próbki gleb, modele budowli leśnych, narzędzi do ścinki i upraw, rogi, kły, wypreparowane łby i szkielety zwierząt, wypchane ptaki i czwo-

ronogi, zaopatrzone w notatkę z miejscem i datą zebrania, sporządzenia lub złowienia, oraz nazwiskiem Ofiarodawcy.

Niech nie braknie nikogo z Was na liście ofiarodawców! Nie pozwólcie by jedyna Wielkopolska Szkoła stała niżej od innych Szkół, a przedewszyztkiem od dawniejszej Szkoły niemieckiej, która zawdzięczała swe zbiory prawie wyłącznie ofiarności leśników!

Pamiętajcie, że im więcej leśnik polski będzie umiał, tem wyżej cenić go będą, tem wyżej stanie u nas leśnictwo a wówczas prawdziwie świetlana przyszłość zabłyśnie naszym ukochanym lasom! Darz Bór!

Państwowa Szkoła dla leśniczych w Margoninie
Woj. poznańskie.

Od Koła Leśników Uniwersytetu Poznańskiego otrzymaliśmy następujące pismo.

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnich czasach spotkali się koledzy absolwenci leśnictwa z bardzo wielkiemi trudnościami przy szukaniu posad.

Na wniesione podania nadchodziły prawie ze wszystkich stron stereotypowe odpowiedzi, że wolnych posad, często nawet zwykłych praktyk, niema. Rezultatem tego było, że cały szereg kolegów zmuszony był porzucić zawód, do którego z zamiłowaniem się garnęli i po 4-ech latach wytężonej pracy — bo takiej pracy wymaga ukończenie wydziału leśnego — jużto przenieść się na inny wydział, jużto przyjąć posady nieodpowiadające ich uzdolnieniom i zamiłowaniu. Moglibyśmy wyliczyć całą litanję „dyplomowanych leśników", zajętych w szkołach powszechnych i w gimnazjach, urzędach skarbowych, biurach bankowych t. t. p.

Nie poruszalibyśmy tej sprawy, gdyby faktycznie „produkcja" leśników przewyższała „zapotrzebowanie", oraz, gdyby wszystkie stanowiska w leśnictwie były zajęte przez ludzi z fachowem wykształceniem. Ale tak nie jest. Wiemy wszyscy dobrze, że bardzo znaczny procent leśników albo nie posiada zupełnie odpowiedniego przygotowania do sprawowania powierzonych im funkcyj, albo posiada je w bardzo nieznacznym stopniu. I widzimy tutaj rzecz godną poważnego zastanowienia: z jednej strony dyplowani leśnicy, posiadający w całem tego słowa znaczeniu „fachowe" wykształcenie i zamiłowanie do zawodu leśnego, tułają się po różnych biurach, urzędach i bankach, z drugiej zaś — ogromną liczbę stanowisk w leśnictwie, zajętą przez niefachowców i protegowanych.

Wiemy dalej, że w wielu zarządach lasów państwowych i prywatnych, udziela się posad ludziom bez odpowiedniego uzdolnienia i wykształcenia.

Przed kilku dniami otrzymaliśmy od jednego ze starszych kolegów absolwentów, pracującego już od dłuższego czasu w zawodzie leśnym, list, którego urywek poniżej podajemy.

List załączony mówi sam za siebie.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby Sz. Pan Redaktor zechciał zrobić użytek z listu naszego w redagowanym przez siebie piśmie.

Z należnym poważaniem

za Zarząd Koła Leśników U. P.

St. Fabianowski, prezes. Mroczkiewicz, sekretarz.

Szanowni Koledzy!

Zechciejcie wysłuchać tej wieści z lasu i dopomódz nam w miarę możności, jak również bronić swych żywotnych interesów.

Z własnego smutnego doświadczenia wiem, że posady leśniczych i nadleśniczych w znacznej części obsadzone są w lasach rządowych przez ludzi zupełnie nieodpowiednich. Są to jednostki przeważnie z „domowem wykształceniem" zupełnie nieinteligentne, o niskim poziomie etycznym, bez żadnego poczucia odpowiedzialności, bez żadnego patryotyzmu, którzy dosłownie „chowali się po lasach", gdyśmy borykali się z wrażą nawałą — mający w najlepszym razie kwalifikacje na starszych gajowych.

Jest też typ inny: synekurzyści, ludzie ogładzeni, „sympatyczni" którzy dzięki znajomościom i stosunkom otrzymali posady, na których używają straży leśnej tylko dla urządzania polowań, a cała czynność ich polega na prowadzeniu intryg, by utrzymać się na posadzie, oraz . . . na kwitowaniu pensji co pierwszego.

Wśród tego morza bezmyślności i zarozumiałej ignorancji pojawia się ten nieliczny czynnik nowy nasz kolega absolwent zwalczany, przez dobrze zasiedziałych nieuków, spychany w najlepszym razie do roli praktykanta lub zgoła odsyłany, wobec pozornego braku posad.

Na posadach tych natomiast z niezrozumiałym uporem trzymani są ci, szkodliwi dla kraju i lasu ludzie.

Łączność młodego, fachowego elementu jest nieznaczna, minimalna.

A jednostkom, które dostały się do tej zgranej kompanji wiąże się ręce, są oni bezsilni i nawet pojedyńczy głos nie dochodzi do zwierzchników, ludzi dzielnych, prawych, lecz też chyba odosobnionych, zwalczanych.

. . . Być może wyda się to Wam Koledzy przesadą. Lecz gdy dostaniecie się na posadę, gdy Waszym pomocnikiem, a co gorzej może nawet przełożonym będzie nieuk, który oplącze Was siecią niecnych intryg, wtedy zrozumiecie tę przesadę. Zro-

zumieją to i ci koledzy, którzy daremnie kołaczą do drzwi Dyrekcji Okręgowych o posadę. Zechciejcie zrozumieć i Wy, których przeważnie ten sam los czeka i zbiorowym protestem, młodym czynem pomóżcie; nam już pracującym do otrząśnięcia się od pijawek leśnych i sobie utorujcie drogę do warsztatu pracy!

Wywalczcie możność pracy!

OD REDAKCJI.

Pisma powyższe podajemy w całej rozciągłości, gdyż odzwierciadlają one prądy i żale, nurtujące dzisiaj w szerokich kołach młodzieży leśnej, a które przeważnie nie są uzasadnione.

Przyznać należy, że nasza młodzież leśna znajduje się w bardzo przykrem położeniu. Zniszczenie wojenne i zubożenie ogólne z trudem daje jej możność utrzymania się w mieście i przebrnięcie przez studja, a kiedy już trud i mozół ten przeszła, to naraz niema dla niej stsownych posad. Winy tego jednak nie można przypisać ani administracji lasów ani społeczeństwu. Wina jedynie polega na tem, że młodzież wybrała się zbyt masowo na studja leśne. Oczywiście nie ona sama temu winna, winni są ci, którzy młodzieży tej nie zwrócili uwagi na to, że długie lata upłyną, nim odpowiednie dla niej stanowiska dla niej będą wolne.

A poza tem zdaje się młodzieży — ale od tego jest ona młodzieżą, — że po ukończeniu studji, dlatego że się ma „dyplom", musi stanąć na stanowiskach choćby najodpowiedzialniejszych — mimo że niema do tego prócz pozbieranych naprędce wiadomości teoretycznych żadnych podstaw. Do podstaw tych zaś należą nietylko studja teoretyczne, ale w pracy tak praktycznej, jaką jest praca gospodarza leśnego, potrzebna znajomość życia, znajomość ludzi, potrzeba do tego obycia się i w sprawach handlowych a przedewszystkiem potrzeba doświadczenia praktycznego w sprawach gospodarczo-hodowlanych. Tego zaś żaden dyplom i żadne — choćby nawet dobre studja — nie dają. Trzeba do tego prócz studji, dłuższej praktyki, ażeby się było zdolnym do dzierżenia stanowiska tak ważnego jakim jest stanowisko kierownika nadleśnictwa. W Prusach, czy Austrji, czy też Rosji długo młody człowiek pracować musiał po ukończeniu studji, nim samodzielną mógł zająć placówkę.

Ale może nie chodzi na razie o stanowiska samodzielne, tylko o stanowisko choćby niższe w hierarchji leśnej. Niestety jednak stanowiska odpowiednie dla młodzieży są bardzo ograniczone, na każdą z dyrekcji lasów państwowych przypada zaledwie po kilka stanowisk adjunktów leśnych, wszystkie zaś inne stanowiska nie mogą być przez młodzież zajmowane — niższe dla czynności wyłącznie praktycznych, niewyrabiających czło-

wieka inteligentnego a nawet zabijających umysłowość jego, wyższe zaś dla braku wyrobienia życiowego młodzieży. Najgorsze jednakże jest to, że w chwili obecnej, stanowiska te są pozajmowane. Podczas objęcia lasów po zaborcach trzeba było brać ludzi na dane stanowiska najbardziej nadających się. Nie było wówczas można zważać na to, czy ludzie ci mają dyplomy lub nie, trzeba było tylko baczyć, czy zadaniu podołają. I ludzie ci przyszli, rzucili nieraz dogodne warunki życia, by służyć sprawie i służyć po długiej udręce niewoli lasowi polskiemu. Służą lasowi temu dobrze, bodaj czy nie lepiej jak służyli zaborcy — w każdym razie zaś o wiele lepiej jakby to czynić mogła młodzież świeżo ławy szkolne opuszczająca.

Przy całym smutnem położeniu znajduje się nasza młodzież leśna w błędzie i na niewłaściwej drodze. Trudności uzyskania stanowiska polegają na przepełnieniu, które przyjść musiało przy tak licznym napływie młodzieży do uczelni — ale dążenie tej młodzieży, by dziś pousuwać z zajętych stanowisk ludzi starszych, spracowanych, obarczonych rodziną, ludzi z zasługami tylko dlatego by stworzyć sobie dogodne warunki — to i nierealne i nierozsądne a już najmniej z etyką młodzieży licujące.

Młodzieży leśna, „Ty nad poziomy wylatująca“, jak Ty odbiegłaś od dróg, któremi kroczył Wieszcz nasz wielki, jak ty w zawierusze wojennej i demoralizacji dnia dzisiejszego obniżyłaś lot, po którym myśmy będąc młodymi płynęli. Dziś chodzi Wam tylko o wygody własne i zaspokojenie swej nieraz tak bardzo wygórowanej ambicji, a mając dyplom w kieszeni pragnęlibyście pousuwać pracowników starszych doświadczonych, niejednokrotnie kalek wojennych, których ofiary złożone na ołtarzu Ojczyzny bodaj czy nie są większe od Waszych.

Nie wątpimy też, że leśnicy bezpośrednio zainteresowani, nie omieszkają w sprawie tej również zabrać głosu.

50-lecie pracy zawodowej p. Władysł. Rektorowskiego.

Nie często zdarza się, aby danem było leśnikowi obchodzić złoty jubileusz pracy zawodowej, to też choć krótkiem wspomnieniem uczcić i przypomnieć należy solenizanta danej chwili na Ziemi Wielkopolskiej, p. Władysława Rektorowskiego, nadleśniczego z Bytynia w Szamotulskiem. Jak zawsze cichy i skromny, bezrozgłośnie obchodził swój jubileusz zbożnej pracy półwiekowej w otoczeniu najbliższych swoich. Znają go starsi i młodzi koledzy z zebrań i pism — jako wielce zamiłowanego i doświadczonego leśnika. Człowiek, który przez okrągłe pięćdziesiąt lat siał, sadził, pielęgnował i ochraniał drzewostany, musiał chyba posiąść pewne maximum doświadczenia fachowego, chociaż nie bez licznych trosk i zawodów, jak to w życiu zwykle bywa.

Lecz dziś... dumnym i zadowolonym być musi z wyników swej mozolnej pracy, patrząc na doskonale wypielęgnowane 50 l. drzewostany, które mu teraz, w pogwarze wieczornym, chyba jaknajlepsze życzenia ślą. A do tych życzeń przyłączają się też liczni leśnicy, Jego dawniejsi elewi, niejedni przypruszeni już siwizną, z pełnem uszanowaniem i wdzięcznością wspominają wzorowego nauczyciela i zacnego człowieka.

Daj Boże jeszcze: ad multos annos! Jan Spychalski.

Do wyżej wyrażonych życzeń przyłącza się Oddział Poznański Zw. Leśników, jak również nasza Redakcja.

Dowiadujemy się też, że koledzy z Oddziału tutejszego zamierzają uczcić Jubilata odznaką Związku, na której uwidocznione będą lata pracy zawodowej. (Przyp. Redakcji).

Udatne polowanie.

W książęcej Nowejwsi odbyło się 12 bm. polowanie, przyczem ubito 36 zajęcy, 26 królików i 2 łanie jelenie, z których jedną (duży okaz) ubił p. Pilardy śrutem.

Kępno, 20. XI. 1924. (Nowy Przyjaciel Ludu).

Pokwitowanie.

Pan Boruski z Rebczyna złożył 52 złote, zebrane na polowaniu w nadleśnictwie Durowo, które wpłaciliśmy do Banku Kwilecki Potocki i S-ka na Fundusz dla wdów i sierot po zabitych przez kłusowników leśnikach.

Za Zarząd
Oddziału Poznańskiego Zw. Zaw. Leśników
Przybylski.

Literatura.

J. PACZOSKI.

Przegląd literatury fachowej.

W. SZAFER, S. KULCZYŃSKI i B. PAWŁOWSKI: „ROŚLINY POLSKIE“. — Opisy i klucze do oznaczania wszystkich gatunków roślin naczyniowych rosnących w Polsce bądź dziko bądź zdziczałych lub częściej hodowanych. Dla użytku florystów, uczniów szkół wyższych i średnich, rolników, leśników, farmaceutów i innych miłośników przyrody. Lwów—Warszawa 1924 r. — Książnica — Alas. Zjednoczone zakłady kartograficzne i wydawnicze Tow. Naucz. szkół średnich i wyższych. — Sp. Akc Str. I—XXXII i 1—736.

Brak „Flory Polskiej" odczywał się od dawna. Dzieło Wagi, wydane pod tym tytułem, aczkolwiek w swoim czasie wybitne i kapitalne, dziś już nie może nas zadowolnić. Zresztą od dawna jest ono rzadkością bibliograficzną „Flora Polska", zapoczątkowana przez M. Raciborskiego i Wł. Szafera w szerszym zakresie, jeszcze nie jest ukończoną (wyszły dopiero dwa tomy — r. 1919—1921), wobec czego dla oznaczenia roślin polskich zmuszeni byliśmy posiłkować się „florami" cudzoziemskiemi, co nie tylko było niedogodne z samej natury rzeczy, ale i prowadziło do licznych błędów, ponieważ nie wszystkie rośliny polskie były w tych dziełach uwzględnione. Dziś mamy możność korzystania nareszcie z dzieła specjalnie przeznaczonego dla zaznajomienia się z roślinami polskiemi. Wobec tego koniecznością jest szersze omówienie tego tak doniosłego faktu. Należy podnieść zalety i wykazać braki dzieła, które niedawno opuściło prasę.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć, że „Rośliny Polskie" zawierają opisy wszystkich roślin naczyniowych, rosnących w Polsce w obecnych jej granicach politycznych. Jednostka systematyczna — gatunek — traktowana jest szeroko, zgodnie z nowymi na nią poglądami. Jednak, jak we wszelkich pracach zbiorowych, nie ma pod tym względem zupełnej jednolitości. Przy tem nieraz są opisywane, jako gatunki rasy zbyt drobne, czasem nawet proste postacie, nie posiadające prawie żadnego znaczenia systematycznego. Naprz.: Juncus zanarius Song. et Perr. (widocznie postać ekologiczna J. bufonius L.), Allium podolicum Błocki (widocznie drobniejsza rasa z cyklu b. zmiennego A. poniculatum L.; przy tej okazji zaznaczyć należy, że opisując A. podolicum, jako odrębny gatunek, wypadało by w każdym razie podkreślić jego stosunek do ostatniego cyklu; wogóle, oznaczanie takich ras według potrójnej nomenklatury, w danym wypadku nazwawszy roślinę A. poniculatum podolicum, byłoby o wiele racjonalniejsze, gdyż od razu sama nazwa wskazywałaby stosunek danej rasy do całego cyklu ras b. pokrewnych), Scirpus uniglumis Link. (nawet znaczenie jako rasy wątpliwe; w każdym razie nie może być poczytywany za odrębny gatunek), Melica transsilvanica Schur. i M. nebrodensis Parl. (w najlepszym razie dwie rasy z cyklu M. ciliata L.), Bromus Benekeni Syma (drobna rasa z cyklu B. ramosus Huds.), Triticum trichophorum Link. (prawdopodobnie, prosta postać z cyklu Triticum — lepiej Agropyrum — glaucum Desf.), Salvia pendula Vahl. (dokładnie stwierdzono, że jest to tylko prosty mieszaniec S. nutans i S. nemorosa), Dianthus Andrzejowskianum Zapał. (jeszcze jest wielkie pytanie, czy różni się czemkolwiek od D. capitatus De., o którym się wcale nie wspomina). Betula obscura kot., Euphorbia wolhynica Bess., Atripler polonica Zapał., Ronunculus serotinus Pacz., Tholictrum flernosum Bernh, Lotus tenuifolius L., Aethusa cynopioides MB., Solanum humile Bernh. i wiele innych należą również do cyklów złożonych z ras drobnych, które identyfikować z samodzielnymi gatunkami nie należy.

Natomiast w opisach brak zupełny niektórych ras znaczniejszych. Czy je traktować jako takie i podporządkować wraz z innemi rasami gatunkom złożonym (species collectiva), czy wyodrębnić je zupełnie gatunkowo, jest rzeczą gustu. Nie wolno ich jednak zupełnie ignorować, ponie-

waż różnią się one nie tylko morfologicznie, lecz i ekologicznie, a także i geograficznie. Do takich wybitnych ras, których nie znajdujemy wcale w „Roślinach Polskich", należą: Lycopodium chamaecyparissus Al. Br. (rasa równorzędna z L. complanatum L.), Gagea Gussonei Terracc. (rasa równorzędna z G. pratensis Röm. et Schult.; rośnie w wschodniej Galicji i dalej na wschód, gdzie zastępuje zachodnio europ. G. prat.; rasa ta wyróżniona była również przez Zapałowicza — „Conspect. fl. Galiciae criticus" I. p. 170 — w postaci odmiany z uwagą: „Varietas memorabilis. Fortasse species distincta". (W tymże mniej więcej czasie rasa ta została opisana przez Terracciano jako odrębny gatunek), Salise rosmarinifolia L. (z cyklu S. repens L.), Spergula maxima Weihe (chwast w zasiewach lnu), Camelina pilosa De. (chwast w zbożu ozimem) i t. d.

Niektóre stanowiska, wskazane dla pewnych roślin, są pomyłkowe. Tak naprz. Abies alba Mil. wskazana jest dla okolic Dubna na Wołyniu. Jednak faktycznie na całym Wołyniu nigdzie niema rodzimej jodły, a stanowisko koło Dubna (właściwie, koło Olgowa w pow. dubieńskim) jest pomyłkowe (zamiast Picea excelsa Link., która tam rośnie rzeczywiście i tworzy jedną z „wysp" świerkowych po za obrębem południowej granicy tego drzewa, wyliczonych w pracach moich o florze Polesia). Poa sterilis MB. podana dla Podola i Pokucia zapewne pomyłkowo zamiast P. podolica Błocki (rasa bliska do P. sterilis, lecz z nią nie identyczna), której brak zupełny w „Roślinach Polskich". — Aldrovanda vesiculosa L. wskazana jest dla Wołynia pomyłkowo, jak to było niejednokrotnie w literaturze wyjaśnione. Asparagus pseudoscaber Bł., o którym się mówi: „dotychczas znany tylko ze ścianek Dniestru i jego dopływu na zachód od ujścia Zbrucza" i który jest oznaczony znakiem rośliny endemicznej, faktycznie rośnie również nad dolnym Dniestrem na pograniczu Chersońszczyzny i Bessarabji do morza (porówn. — Paczoski: „Chersonskaja Fłora". I. 1914, p. 485), a także w Rumunji (porówn. — Grecescu: „Conspectul florei Romaniei", p. 556). — Wolffia arrhiza Wimm., wskazana ze znakiem zapytania dla Wołynia i Podola faktycznie rośnie na Wołyniu (w polskiej jego części) koło Zdołbunowa — Schmalhausen; (dla okolic Lwowa wskazana była przez Raciborskiego) i na Podolu (na kilku stanowiskach, wprawdzie, ku wschodowi od Zbrucza). — Melilotus polonicus (L.) Desr. opisany zupełnie niepotrzebnie, gdyż w Polsce (wbrew nazwie) nie rośnie. Właściwie jest to M. volgicus Poir. = M. ruthenicus MB.*), roślina południowego wschodu Rosji (opis właściwie w „Roślinach Polskich" jest fałszywy; mianowicie, tam jest powiedziane, że kw. są 5,5—6 mm. dł., jasnożółte; faktycznie M. volgicus Poir. posiada kw. znacznie drobniejsze, 3 mm. dł., białe). — Triticum polonicum L. (wbrew nazwie) w Polsce nigdy nie było uprawiane, chociaż opisane było wedle okazów z Polski przysłanych**). Ronunculus nemorosus DC. wskazany dla wschodniej części niżu (Puszcza Białowieska) pomyłkowo zamiast prostej

*) Patrz pod tym względem: „Trudy Juriewski. botan. sada" — III. p, 168 i IV. p. 6—13 i 246—252.

**) Takich nazw niewłaściwych jest wogóle sporo. Naprz. ani Genista sibirica L., ani Scilla sibirica Andrew. wcale w Syberji nie rosną. Należało by takie nazwy, fałszywie rzecz przedstawiające, wycofać z użycia.

szerokolistej postaci R. polyonthemos L. O drobniejszych nieścisłościach wspominać tu nie będę.

Nie zważając że naogół autorowie opisują bardzo drobne gatunki, nadając im odrębne nazwy gatunkowe, w kilku wypadkach podają tylko opis zbiorowy, tak, że nie wiemy dokładnie, jaką mianowicie rasę ma opis na widoku. Naprz. Ruppia maritima L. jest to nazwa zbiorowa, obejmująca właściwie dwa gatunki (czy rasy): R. spiralis Dumort. i R. rostellata Koch. która z nich figuruje na str. 34 „Roślin Polskich“ — nie wiadomo. Veratrun album L. również jest nazwą zbiorową; należy do niej, oprócz właściwego V. album (kw. białe), V. Lobelianum Bernh. o kw. zielonkawych. Obie rasy rosną w zakresie naszej flory, lecz wyróżnione nie są. W liczbie synonimów Asperula aparine MB. znajdujemy A rivolis Sibth. et Sm. Jednak są to zupełnie różne rośliny (chociaż postaciowo i wogóle morfologicznie bardzo podobne), które i ekologicznie i geograficznie są niezależne i t. d.

Sanguisorba minor Scop. i S. polygama (W. K.) nie ma możności rozróżnić na podstawie pomarszczenia i oskrzydlenia owocni. Natomiast rasy te, które lepiej nazywać Poterium sanguisorba minor i P. sanguisorba polygama (co odrazu wskazuje na ich pokrewieństwo i przynależność do jednego cyklu) dają się rozróżnić na podstawie owłosienia (pierwszy podgatunek jest owłosiony, drugi — nagi), jak to jest zrobione u Beck'a (Flora von Nieder-Oesterreich, p. 768).

Nie będę się zatrzymywał dłużej na tych drobnych uchybieniach i niedokładnościach, nieuniknionych w każdej większej pracy. Zwrócę jeszcze tylko uwagę na niedogodności, które się uwydatniają przy korzystaniu z tego wogóle bardzo cennego dzieła. Przedewszystkiem brak jednego całkowitego klucza dla określania rodzin bardzo jest niedogodny. Rozczłonkowanie oznaczenia na odszukiwanie z początku typów i klas, później rzędów, następnie rodzin prowadzi do przerzucania całego dziełka, a więc wymaga straty czasu. Klucz, według którego oznaczałoby się odrazu rodziny, byłby nierównie praktyczniejszy. Następnie klucze, w których antytezy znajdowałyby się tuż obok siebie (zwykły dychotomiczny klucz), a nie rozrzucone były po rozmaitych nieraz stronnicach, byłyby również znacznie praktyczniejsze. O ile dla oznaczenia gatunków przyjęty przez autorów sposób posiada tę zaletę, że pokrewne gatunki umieszczone są blisko siebie, co przy określeniu nieraz jest bardzo pożądane, to dla kluczy rodzajowych nie daje on i tego, gdyż pokrewieństwo rodzajów uwidacznia się i bez tego samem ich rozmieszczeniem następczem.

Wielka szkoda, że w dziełku nie są uwzględnione (za rzadkiemi wyjątkami) przynajmniej te synonimy, które są bardzo rozpowszechnione i konieczne, gdyż wspominają się odpowiednie nazwy w setkach i tysiącach dzieł. Brak ten jest o tyle przykrzejszy, że względnie często widzimy w dziełku nowe nazwy dla powszechnie znanych roślin. Dla tego, ażeby przekonać się, że nieznana nazwa oznacza nieraz b. zwykłą i dobrze znaną roślinę, trzeba się uciec do dzieł obszerniejszych nowych (naprz. Ascherson und Groebner: Synopsis der Mitteleurop. Flora, Hegi: Illustrierte Flora von Mitteleuropa. etc.), które nie u każdego znaleść się mogą.

Co się tyczy nazw, przyjętych w „Roślinach Polskich", to rzuca się w oczy wysuwanie często na pierwszy plan nazw Giliberta. Pisałem już raz w tej kwestji, i nie mam tu zamiaru tego wszystkiego powtarzać. Napomnę tylko, że nazwy Giliberta są dowolne, gdyż przechrzcił on wszystkie rośliny zasadniczo. Wobec tego, gdy którakolwiek roślina z zakresu naszej flory okaże się nie identyczną z tą, za którą ją poczytywano, niema żadnej racji używać w takim wypadku nazwy Giliberta. Ta ostatnia była synonimem czystej wody; nowa nazwa była dla starej rzeczy, dla rośliny w takim zakresie, jaki za czasów Giliberta jej nadawano. Zrozumialsze to będzie na przykładzie. Nazywając rośliny nowemi nazwami, G. modrzew przezwał Larix caducifolia, nie myśląc nawet o tem, że kiedykolwiek modrzew polski będzie wyodrębniony. Jego Larix caducifolia oznaczała nie specjalnie modrzew polski, a wogóle modrzew europejski. Gdy Raciborski wyróżnił gatunkowo modrzew polski i nazwał go Larix polonica postąpił zupełnie słusznie. Niesłusznie więc postąpiłby ten, ktoby nazwę L. polonica zaliczył do synonimów, a wysunął na pierwszy plan Gilibertowską L. caducifolia. A jednak dla bardzo wielu gatunków postąpiono tak mianowicie. Do tego dodać należy, że djagnozy Giliberta nie zawsze odpowiadają naszym roślinom, a często były żywcem spisane z dzieł innych. W swoim czasie przestudjowałem cały zielnik Giliberta i przekonałem się, że w znacznej części jest on opracowany b. źle. Błędne oznaczenia liczą się w nim setkami. Jaką powagą może się dziś cieszyć dzieło („Flora lithuanica"), w którem opis Limnonthemum nymphacoides opiewa: „flos mangnum luteum" (jakim on jest w rzeczywistości), a w zielniku leży Hydrocharis morsus ranoe? Wobec tego wszelkie cytaty z Giliberta, jak również i używanie nazw jego, należy zaliczyć do balastru literackiego.

Kończąc mój krótki referat dziełka, które tylko co prasę opuściło, wyrażam życzenie, aby ono znalazło się w ręku każdego miłośnika roślin. W każdym razie pojawienie się „Roślin Polskich" jest wybitnem zjawiskiem w naszej, tak niebogatej literaturze przyrodniczej. Przypuszczać należy, że możność oznajomienia się z polskiemi roślinami z dzieła polskiego nieodzownie musi wywołać ruch w studjowaniu przez młodzież rodzimej naszej „Flory".

Białowieża, 30. 8. 1924.

DODATEK.



HELENA MNISZEK.

Książęta Boru.

W ciepłej izbie, w Majdańskiej leśniczówce, płonął na kominie suty ogień. Przed nim siedział na kłodzie stary borowy, Grzegorz, w kożuchu i jałowiczych butach. Obok niego, powtulani w kudły wilczury, dwaj chłopcy i dziewczynka. Przy nich leżał duży kundel, Burek i dwa młode jamniki.

Grzegorz opowiadał dziwaczne baśnie o wilkołakach i upiorach, o zaklętych królewnach i smokach. Dzieciom zdawało się, że strachy siedzą gdzieś blisko, młode serduszka biły trwożnie.

W drugim kącie izby gospodyni przędła na kołowrotku, wzdychając nad okropnościami, opowiadanemi przez starego. Znała już je na pamięć i zawsze ją przerażały.

Przy drzwiach uwiązany na sznurku spał wilk, pod tapczanem czerwieniało w ogniu rude futerko lisa, a na środku izby truchtały w licznem stadku białe i szare króliki. Dwie młode wiewiórki, dokazując na piecu, rozbudziły kota i szpaka. Ptaki zaczęły bić skrzydłami, kwiląc głośno. Potem szpak skoczył na wiewiórkę i zawołał ochryple: „Bywaj zdrów.. bywaj zdrów..“

Dzieci i Grzegorz radośnie patrzyli na ptaki, a gospodyni rzekła:

— Zmyślny szelma, jak to gada.

Kos, zachęcony głosem towarzysza, rozgwizdał się, aż w uszach wierciło. Izba zawrzała życiem, śmiech dzieci dzwonił srebrzyście. Od proga pomrukiwał wilk, najeżając kudłatą szerść, lis wyskoczył z pod tapczana, strzygł uszami, machał kitą, ale był wesoły. Nie drażniły go krzyki ptaków, uważał już ich za swych braci. Szpak wołał zawzięcie „Na zdrowie... panowie... brrr ha!... zima zła!...“

Dzieci klaskały w rączki, a gospodyni aż się za boki trzymała ze śmiechu. Stary poprawiał ogień w piecu, jego zwiędła, żółta twarz wyrażała ciche zadowolenie. Od czasu do czasu mówił przewlekle, rozbitym głosem, jakby śpiewając.

— Ot... ot... ot!... miło człowiekowi w zacisznej izbie, jakby za życia już w niebie był. I te ot zwierzaki człowieka radują.

Pokiwał głową żałośnie i znowu prawił do siebie.

— Ot... ot... ot... na „Czornej reczce“ gorzej było, w Sewastopolskiej wojnie, Boże odpuść! Kule, harmaty, hej!... hej!...

— Oho! już tato o wojnie gada, pewnikiem garnki poprzewraca — wołała gospodyni. Józek, odstaw wieczerzę na bok.

Stary oprzytomniał.

— Nie bój się, Jagatka, szkody nie zrobię. A gdzie to Jadam, co go nie widać?...

— Gdzieżby?... na obchodzie. Cicho... no! — krzyknęła gospodyni na dzieci i zaczęła nasłuchiwać.

Przez ściany chaty wemknął do izby dziwny odgłos, ponury, zbity w kupę, a rozwlekły w tonie, jakby kto harmonję rozciągał. Głosy złowrogie szły niby z pod ziemi jednolitą masą jęku.

— Wilki wyją, — szepnęły dzieci.

— Matulu, patrzajta na naszego, — rzekł najstarszy Józek.

Gospodyni spojrzała w stronę proga.

Wilk wstał, siadł na tylnych łapach. Szerść na głowie zjeżyła mu się, oczy zaświeciły strasznie. Nastawione uszy, jak lejki, wchłaniały odgłos idący z boru, wargi zwierza mlasnęły parę razy, ukazując kły. Wilk słuchał z rosnącym niepokojem i zaczął pazurami drapać ziemię. Groźny pomruk wychodził mu z gardzieli.

— Wilczysko jucha! biedy jeszcze narobi — rzekła gospodyni — odpędź Józek króliki, gotów bestja podusić.

— Ale wyją, że ha! — mówiły dzieci.

— Musi miały dobrą kolację albo ot... ot... ot... na tego konia nasiadły, co my go z Jadamem rzucili; nie wiele się ufetujom.

Stary wstał z zydla i zgarbiony podszedł do wilka. Łagodnie zaczął go głaskać po głowie, łachotać po kudłach, przemawiał jak do dziecka.

— Ot... ot... ot... durny ty, czego się wiercisz kiej wrzeciono, kamratów się zachciało ha?... do boru?... konika źreć?... Strychnina bratku, strychnina, nie nasycą się kamraty, zaćpają śmierć dla siebie, lepsza strawa tu, u Jagatki.

Wilk mlaskał wargami, ale pieszczoty uspakajały go widocznie, stary wciąż gadał bawiąc się ze zwierzęciem.

— A durny, a durny, źle ci tu?... Ot... ot... ot... niewola dokuczyła co?... czekaj, pójdziem jutro na spacer, do ganku

przywiążę na dłu...gim sznurze... będziesz wąchać bór... Ot... ot... ot!... pod Sewastopolem było gorzej...

Wilk zaczął się łasić do starego, wyprawiał skoki i zabawnie kręcił się w kółko, zupełnie ułagodzony.

W tem na ganku zatupotały męskie kroki.

— Jadam idzie! — zawołała gospodyni, biegnąc do garnków.

— Tato! tato!... wołały dzieci.

Do izby wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, w kożuchu, z głową zawiniętą w baszłyk. Stanął w progu i nie witając się z nikim, patrzał na izbę, na żonę i dzieci jakimś tępym wzrokiem. W oczach miał wilgoć z mrozu czy ze wzruszenia.

— Co ci to Jadam? — spytała kobieta.

On obrócił się do starego, rzekł ponuro:

Wieta ojciec?... a to my już ostatnią zimę na leśniczówce majdańskiej...

— Ot... ot... ot... zgłupiałeś!...

— Prawdę gadam, ostatnią; trza ciskać tę naszą ojcowiznę i... we świat.

Z oczu spłynęły mu łzy.

Stary Grzegorz opuścił ręce, usta mu zwisły na trzęsącą się brodę. Gospodyni stała jak trup niema.

— Jadam! co gadasz?... ot... ot... ot...

— Jadam, odprawili cię?... jęknęła gospodyni.

— Zaśby tam! ino las sprzedany, będą rąbać nasze ostępy, nic tu po nas.

— Rąbać... nasz bór... — jęknął stary.

— A juści!... przyńdą z siekierami, położą nasze dęby, nasze sosny, hej Boże! Boże! taki bór!

Adam rozbierał się z kożucha a łzy gradem płynęły mu po czerwonej twarzy. Gospodyni załamała ręce. Józek zrozumiał o co chodzi, buchnął w płacz, zawtórowały mu wszystkie dzieci.

Cichoj, cichoj, — uspakajał stary Grzegorz, może to jeszcze nieprawda. Ot... ot.. ot... mało bajek na świecie?... taki bór mieliby rąbać?... a toćby sumienia nie było.

— Dobrze ja się wywiedział — odrzekł smutnie Adam, wszyscy o tem gadają.

Stary nagle ożywił się, podniósł oczy spłowiałe na syna i zawołał.

Ot... ot... ot!... a pamiętasz, Jadamuś, jakto nas za jenerałów wzieni?... też cały świat gadał o tem, ciągali nas po policjach, mieli wyrzucać z Majdanu i co?... Ot... ot... ot... bajka!

— Dziadku, dziadusiu opowiedzta jak to było — wołały dzieci nagle rozweselone nadzieją opowiadania. Posadziły starego przy ogniu, nalegając.

— Jak to było z tymi jenerałami?

— Bestje wilki, jak dziś hulają — rzekł Adam grzejąc ręce przy piecu. — I truje się tych gałganów i mnożą się bez miary.

— A konia jeszcze nie zżarły?...

— I... pewno dziś wezmą się do padliny, musi tak ciągną na żer. Nawet tych bestji żal, jak wytną bór, tak jak i my bez dachu ostaną.

— Nic, Jadamuś, nic, ja dumam co to bajka, gdzieżby taki bór!...

— Dziadku, o jenerałach mów — zaszczebiotały znowu dzieci.

— Ot... ot... ot... ciekawskie! no, to słuchajta bąki, siadać mi po porządku, raz, dwa, trzy, ot tak. I ty Jadamuś przykucnij, zaraz ci ulży. Jagatka tymczasem słoninę do kartofli uskwarzy.

Stary oparł się obu rękoma na grubym kiju, zgarbił, podniósł twarz do góry, i z przymkniętemi powiekami prawił.

— Ot... ot.. ot... dawne czasy. Było to wnet po wojnie tureckiej, po Plewnie, gdzie ot... ot... ot... takoż... kule... harmaty... ale... ja tam już nie był.

Dzieci szarpały starego za kożuch.

— Dziadku o jenerałach mówcie, my już wojnę znamy.

— Toż mówię, cichoj; po wojnie tureckiej włóczyło się dużo gałgaństwa różnego, złodziejów, koniokradów, jak zawsze po wojnie. Czasem policja szukała, a czasem i dragony. My z Jadamciem siedzieli ot... ot... ot... na leśniczówce, pilnowali boru. A zwierza to już nas tak znali, jako i teraz. Bywało idę na obchód, a kawałek chleba do garści wezmę, a zacznę wabić to, ot... ot... ot... i cały regiment saren i jeleni a koziołków za mną bieży. Skacze to, raduje się, aż śmiech patrzeć i człowiekowi miło. Czasem to i z łosiami ja takie sztuki robił, ale trudniej..., ot... ot... ot... trudniej, chyy...tre, nie do ludzi; zające takoż płochliwe, a co o lisach, dzikach, wilkach, to i gadania nie

ma. Jak mnie raz dzik pokaleczył, a wilk zębami capnął, tak już ot... ot... człowiek stracił wiarę. I ot raz, jakoś było koło Gromnicznej, pamiętam strasznie się wilki rozpanowały na Czortowych dołach. Całemi kompanjami łaziło to po lesie, hej!... jaka moc! bór grał od wyku, truchlał naród po wsiach. Co ludzi zażarli, a koni, a już najwięcej to naszego zwierza ginęło.

— A pamiętacie ociec, jak my we dwuch zaczaili się na stogu, co pod nim leżał zatruty baran?... Naprażyli my ich wtedy — przerwał Adam ożywiony wspomnieniami.

— Co nie mam pamiętać! ty Jadamciu zabiłeś dwa stare, a ja starkę i młodego wilczaka. Potem barana wytaczali w śniegu, żeby prochem nie trącił, i podnieśli dalej i znowu zabili trzy, bo to raz?...

— Dziadku o jenerałach?... — zamamrotały dzieci.

— Ot... ot... ot... kiedy tyle było wilków na Czortowych dołach, uradzili my z Jadamciem przeprowadzić sarny i kozły do bliższych ostępów pod Majdan. Siano my im kładli, przysuwali bliżej, aż raz w niedzielę poszli ze sianem do boru. A ja wystroił się, jak to zawsze na święto, w stary szynel, co mnie mój pułkownik podarował; czapkę żołnierską na głowę wsadził; ordery dwa, co mam z wojny, przypiął, strzelbę zawiesił, patrontasz nałożył, a nóż za pas, i hajda w bór. Jadamuś, młodziak, także się wygalantował, w nową kurtkę z siwym barankiem, na sznury spiętą z przodu, barankowa czapa, a że chłopczysko załotne było, to ot... ot... ot... pióro sobie z cietrzewia przypiął do czapy. Tak my poszli na Czortowe doły, wabili, wołali, dawali siano skubać, aż zbiegła się do nas niezła gromada saren i jeleni, że aż dziwo.

— I teraz tak samo, jak zwołam to idą za mną niby dzieci — przerwał znowu Adam.

— Ot... ot... ot... wiadomo oswojooone, od maleńkości nas znają. Toż ja tu urodzony na Majdanie i ty Jadam także, mój ojciec już ich wodził za sobą. Jak my tu z dziada, pradziada, tak i zwierz swoje pokolenia w naszych oczach mnoży. Tak oto wtedy ściągnęli my ich do siebie, i wabiąc, głaskając, gadali my do nich, jak do ludzi i wiedli za sobą pod Majdan. A tam już my wcześniej naszykowali dla nich brogi, znaczy się stogi siana i liści, zebrali my z całego lasu. Idziem tedy, idziem,

a sarny za nami. Obwąchują nas, trącają nosem strzelby, ale nie boją się, wiedzą juchy, że im nic nie zrobim. Aż huk idzie po lesie i chrupot śniegu od racic. Hej... hej! bure sarny. Uszy nastawione, sterczą ogromne rogi jeleni. Idą za nami posłusznie, młode sarny skaczą. Żałowali my, co nikt nie widzi tej procesji, boć to dziwo było dla oczów. Tak my idziem, idziem aż doszli do traktu. Już zaczęło szarzyć, łuny pogasły na zachodzie i wyjrzał miesiąc, jak latarnia. Raptem na trakcie zahuczało: wracali ludzie z miasta. My z naszą kompanją byli blisko, podchodzili prędzej. Aż tu na szosie jak zaczną poganiać konie, baby w pisk, lament się podniósł, i w mig, już nikogo nie było na trakcie, nim się my obejrzeli, już pouciekali wszyscy.

— Ja bym się sama nastraszyła takiej gromady — rzekła gospodyni.

— Ot... ot... ot... prawda że dziwo, ale ludziom przy miesiącu wydało się, że to banda zbójów. Rozniosły się krzyki, gadania różne, co w naszych borach zbóje są, cała szajka. A jeden sołdat, co jechał na wozie z wiejskiemi ludźmi, bożył się, że widział jakieś wojsko i dwóch jenerałów na przodzie. Podniosły się wrzaski, doszło do policji.

— A z sarnami co?... a z sarnami — pytał Józek.

— Sarny, jakby ich nie było, pouciekały, ale potem my ich doprowadzili dobrze pod Majdan; za kamratami ciągnęły inne z dalszych ostępów, pilnowali my, żeby nie uciekły, i strzegli od wilków. Tylko my już potem stado prowadzili przez głębokie knieje, daleko ode drogi.

— Chodźta na wieczerzę — zawołała Agata.

— Ot... ot... ot... zaraz skończę. Jak roznieśli po świecie że w boru jest jakaś banda z jenerałem, tak przysłano z urzędu wojsko. Jeździli po kniejach i zajechali do nas. Co?... jak?... a ot gadają, banda tu jakaś jest. My nie dorozumieli się, sami się polękali. Wzięli nas do policji na spytki, a tam był ten sołdat, co na wozie jechał. Pokazał zaraz na mnie i na Jadamcia i krzyczy — „a ot to te same jenerały, tylko bez formy paradnej". Pytają nas, zachodzą rozmaicie, komu to my komenderujem, gdzie nasza banda?... Powiadają, że jakoby Jadamcio miał kitę na czapie, a ja złotne ordery. W bandzie — prawią, wszyscy byli w baszłykach i sterczały karabiny. My już doro-

zumieli się i w śmiech, co spojrzym na siebie to w śmiech ot... ot... ot... nas za karę do turmy. Źleee, zaczynamy się bronić.

— Chodźta, kartofle stygną, potem powieta resztę. Jadam chodź — wołała kobieta.

— Ot... ot... ot... niecierpliwa, zara kończę, zara. No i widzita, ciągali nas po urzędach, aż nas złość wzięła, do boru tęskno, wodzą się z nami, a tam wilki sarny pojedzą. Obiecali my naczelnikowi w urzędzie pokazać to dziwo z sarnami na oczy. Ot... ot... ot... i pojechał on na trakt z naszym jadwokatem. A my postroili się jak wprzód, i zwabili nasz regiment. Podeszli hurmem do traktu, miesiąc świecił tak samo, tylko już drugi; całe cztery niedziele z nami się prowadzali. Idziemy, a sołdat, bo i jego naczelnik wziął za świadka, jak nas zobaczył tak w krzyk „te same!... te same byli!“ Dopiero naczelnik z jadwokatem w śmiech, plaszczą w ręce i dalej nas oglądać a dziwować się. Patrzą, zamiast baszłyków, sterczą sarnie uszy, a karabinów nie ma, tylko rogi jelenie. Ot... ot... ot... i śmiech, ot i ludzkie bajdy.

— Dziadusiu, a sarny stały, nie bały się? — pytał Józek.

— Wiadoomo baały niebożęta, w mig się rozbiegły, ale co naczelnik zobaczył, to zobaczył. Uśmieli się z jadwokatem, nacieszyli aż miło, a jak ja im pokazał ordery z wojny, to już naczelnika całkiem zjednał. Dał mi pięć rubli w rękę, niby za te ciąganie po turmie, a jadwokat dał drugie pięć i tak nam powiedział: — „wy tu jak książęta jesteście“. Naczelnik tylko kręcił głową i mówił — „kniazia, kniazia!“ Ot... ot... ot. . i zwolnił nas, ale po wsiach nie chcieli wierzyć, że to byli my. Jak przedtem nas nazywali zbójami, tak potem już kniaziami, tak i zostało ot... ot... ot... do dzisiejszego dnia.

Stary skończył mówić i zakaszlał się. Agata wzywała do wieczerzy. Adam wzdychając powstał z kufra, za nim ruszyły rozszczebiotane dzieci.

Stary ociągał się; oparty na kiju patrzał w płomień gasnący już, spopielały. Znowu wspomnienia opadły starca.

— Ot... ot... ot!... gorzej było na Czornej reczce, pod Sewastopolem... hej!... kule harmaty!... Hej!... Hej...!

...Na zdrowie panowie!... brrr ha!. . zima zła! — wrzasnął na nowo zbudzony szpak.

Z za okna dochodziło ponure wycie wilków.

— Nie długo już tego — mówił Adam, kiwając smutnie głową.

Znowu uderzenie, tępe, dalekie.

Buh!... buh!... buh!...

Stary zbladł, zaczął dygotać na ciele

— Ot... ot... ot... nie daj Boże!... — jęknął.

— Dziadusiu co to?...

Józek niedokończył; spłoszone gwałtownie sarny rozbiegły się. Wpadł Adam blady, zziajany, z przerażonym wzrokiem. Chwycił starego za ramiona i wstrząsając silnie, krzyknął dzikim głosem.

— Bór nasz rąbią!... ociec! bór siekierami... walą!.. la Boga! nasze dęby!... la Boga!... nasz bór!...

Stary zachwiał się i usiadł na progu. Łzy gradem spłynęły mu w oczy, nie wyrzekł ani słowa, tylko serce mu biło z łomotem, jak nad trumną brata. Józek i młodsze dzieci zaniosły się od płaczu. Adam wsparty plecami o ścianę chaty, z dreszczem w żyłach słuchał tępych odgłosów siekier z głębin czarnych, przepaścistych.

Buh!... buh! buh!

— Jezu! wolej bym tego nie dożył! — zaskowyczał Adam, i szloch bolesny wypadł z jego piersi.

. . . .

Po wieczerzy wigilijnej stary Grzegorz wyszedł z rodziną na ganek leśniczówki. Z dzieci był tylko Józek, młodsze spały.

We czworo usiedli na zaśnieżonych schodach; cicho gwarzyli, patrząc na bór. Smutno szemrały ich słowa, i częste westchnienia wyrywały się z piersi.

Świętowali w leśniczówce już ostatni raz.

Polanka Majdanu skrzyła się bielą, — świetliste igiełki błyskały na pniach sosen. Ciężkie połcie śniegu, zwisając z szerokich gałęzi, siały na ziemię sypkie tumany. Niebo miało kolor szaro perłowy, rozjaśnione tarczą księżyca. Płynął wysoko, otoczony drobnemi obłoczkami, świecąc ludziom i zwierzętom w tę noc wigilijną. Bór nie szumiał, cisza ugrzęzła w nim uroczysta, roznosząc modlitwę.

Do słupów ganku przywiązany siedział wilk i lis. Obaj, łypiąc ślepiami, patrzyli w czarne głębie lasu, węsząc swobodę. Ale dostatnia wieczerza rozleniwiła im ciała. Przez polankę raz i drugi przebiegł zając. Nastawił słuchy, kicnął parę skoków, stanął słupka i pomknął dalej. Po chwili ukazały się dwie sarny. Adam zaczął je wabić. Znajome już były; w ładnych susach dopadły do ganku, ale nastraszył je wilk. Jedna, kładąc uszy na karku, skoczyła w bok, umykając z całych sił, aż Józek prychnął śmiechem. Druga, śmielsza, stała dalej drżąc z przerażenia.

Przeszło parę tygodni, zbliżało się Boże Narodzenie. Na leśniczówce żyli w niepewności i strachu. Ze świata szły ciągłe wieści, że zguba wisi nad borem. Stary Grzegorz z początku pocieszał syna, ale potem i on stracił nadzieję. Żal gryzł mu serce. Słuchał teraz poważnego szumu sosen prawie z nabożeństwem, wabił do siebie sarny i płakał nad niemi.

Pewnego ranku Agata poszła do miasta po zakupy, Adam do boru na codzienny obchód. W izbie został Grzegorz i gotował śniadanie. Dzieci bawiły się z królikami, a Józek nożem łupał trzaski na podpałkę.

Dzień był mroźny i słoneczny; śnieg szklił się jaskrawo, na oknach osiadły desenie z mrozu, jak kwiaty.

Stary Grzegorz po śniadaniu zabrał się do robienia chodaków z łyka dla siebie i Adama, pomagał mu Józek. Pracowali do południa. Słońce przygrzewało mocno i okna, pozbywszy się lodu, spłynęły wodą. Nagle Józek zawołał.

— O la Boga! dziadusiu, co saren! patrzajta, musi tato wraca czy co?...

Stary zajrzał w okienko i zdumiał. Na polance Majdanu kręciło się mnóstwo burych plam sarnich, były jelenie, nawet śmigały zające. Zwierzęta strzygły uszami, zdradzając niepokój. Z głębi lasu wyskakiwały co raz nowe.

Grzegorz patrzał, coś mruczał i twarz jego spoważniała. Józek zaciekawiony spoglądał to w okno, to na dziadka.

— Dziadusiu, czego się tyle ich zbiegło?...

Stary szedł do drzwi.

Coś ci się złego w boru stało — mamrotał do siebie.

Wyszedł przed chatę i zaczął zwoływać sarny. Kilka znajomych podskoczyło w lansadach do starego, za sarnami sunął poważnie kozioł. Grzegorz głaskał smukłe główki samiczek, całował czarne mordki i pytał troskliwie.

— Ot... ot.. ot... cóż to?... czego zmykacie, na opiekę do mnie przyszli co?.. kozu... kozu... kozu! — wołał na samca — choć durny, nie strachaj się.

Nagle Józek trącił dziadka w bok.

— Dziadusiu słuchajto, coś ci huka po boru.

— Może tato trąbi?...

— Ee nie! ja trąbkę znam, posłuchajta.

Stary wyciągnął głowę, uszy ogarnął dłonią i słuchał.

— Przewidziało ci się!

Sarny lizały go po rękach, kozioł za kożuch łapał wargami. Ciepłe słupy pary buchały z nozdrzy zwierząt, które wiankiem otoczyły starego

— Ot! o! dziadusiu! słuszyta?... — krzyknął Józek.

Głuchy, tępy odgłos przebił powietrze, potem drugi i trzeci. Zwierzęta nie słyszały już nic, czując się bezpieczne przy swym opiekunie. Mniejsze dzieci wylazły na próg z kawałkami chleba, wołając na sarny.

Stary słuchał pilnie, z oczyma utkwionemi w bór, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo.

— Józek, zabierz ich do izby — rzekł Grzegorz wskazując na wilka i lisa. — Ot.. ot... ot... święty dzień, nie trza robić zwierzątkom strachu.

Sarny, ośmielone brakiem drapieżców, zgromadziły się licznie, wabił je Adam i Grzegorz, Józek również. Agata dawała sarnom kłapcie siana. Zebrało się ich kilka. Ludzie i zwierzęta tworzyli jakby jedną rodzinę, zgodną, kochającą się.

I oto w ciszy boru, w zaśnieżoną polankę zatrzepotały, niby skrzydła gołębia, uroczyste tony pieśni.

„W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu".

I poszła pieśń górna a święta, każdego roku na tym ganku, z tych samych ust płynąca. Hej! ile lat leśniczówka święciła takie wieczory. Stary Grzegorz tu się urodził, i tak samo jak Józek teraz, śpiewał z rodzicami.

Sarny nie zlękły się śpiewu, chrupały siano, lgnąc do ludzi.

Jeszcze pieśń nie przebrzmiała, gdy stary Grzegorz rozpłakał się. Tulił do siebie sarnie główki i mówił urywanym przez łzy głosem.

— Ot... ot... ot.. niebożęę... ta, kto was będzie hołubił jak... nas... nie stanie?... ktooo?... ot... ot... ot... i boru... i boru nie stanie.

Wszyscy milczeli ponuro, ciężka rozpacz gniotłu im duszę.

Jakby dla powiększenia grozy, z głębi boru rozległ się głuchy wyk wilków.

Sarny zadygotały.

— Cichoj... cichoj durne — uspakajał je Grzegorz — i wy biedota i oni tam pożałują boru... wilczyska, pożałuują; i z nimi się człowiek zżył — a teraz?... Ot... ot... ot... na Czornej reczce kule... harmaty... Hej! hej!

Stary rozszlochał się, całował błyszczące, czarne mordki saren i oblewał je łzami.

Szanownym Czytelnikom

niniejszem przypominamy uprzejmie o obowiązku uiszczenia zaległej prenumeraty za przesłane numery

„PRZEGLĄDU LEŚNICZEGO"

oraz prosimy o łaskawe spieszne nadesłanie przedpłaty na przyszły kwartał.

Do abonentów zaś naszych, którzy zdają sobie sprawę ze znaczenia „PRZEGLĄDU" oraz doniosłości jego celów zwracamy się z gorącym apelem, by pismo nasze starali się rozpowszechniać i zjednywać dla niego jaknajszersze rzesze czytelników. Oczywistem jest, iż mały ten wydatek nie zrobi uszczerbku w budżecie żadnego z leśników, większa zaś ilość prenumeratorów wpłynie bezwarunkowo dodatnio na poziom pisma, gdyż celem naszem jest stopniowe zwiększanie i urozmaicanie jego treści.

Zwracamy się też z uprzejmą prośbą do Szan. Czytelników o łaskawe stałe zasilanie „PRZEGLĄDU LEŚNICZEGO" materjałem; chodzi nam bowiem nietylko o artykuły o treści ściśle naukowej, lecz również o notatki i wskazówki praktyczne z dziedziny leśnictwa i łowiectwa.

Redakcja i Administracja.

Nakładem i czcionkami drukarni „Rynku Drzewnego i Przeglądu Leśniczego" w Poznaniu